

Nr 1048.

Z. ANDREJEW



ŻYWOT **Komputer** BAZYLEGO
FIWEJSKIEGO

**ŻYWOT
BAZYLEGO FIWEJSKIEGO**



WARSZAWA
Wydawnictwo Naukowe PWN
ul. Senacka 5, 00-008 Warszawa

Z. ANDREJEW



Komputer

ŻYWOT BAZYLEGO FIWEJSKIEGO

PRZEKŁAD

STANISŁAWY KRUSZEWSKIEJ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1906



~~61408~~
63739

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0008609

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-84/76 | 63739

I.

Nad całym życiem Bazylego Fiwejskiego ciążyło nieprzełagane tajemnicze fatum. Jak gdyby przeklęty niewidzialnym przekleństwem dźwigał od młodości ciężkie brzemie smutku, chorób i nieszczęść i nigdy nie goiły się na sercu jego wiecznie krwawiące rany. Śród ludzi — samotny był, jak planeta wśród planet i zdawało się, że jakieś powietrze niszczące i zgubne otaczało go, jak niewidzialny, przezroczy obłok.

Syn pokornego i cierpliwego ojca, wiejskiego popa, sam był równie pokorny, cierpliwy i przez długi czas nie czuł tego złowrogięgo, tajemniczego losu, który skupiał nieszczęścia nad jego brzydką, zwichrzoną głową. Często upadał i wolno się podnosił, znów padał i znów z wolna się dźwigał — gromadził ziarnko piasku do ziarenka, patyk do patyka i pracowicie odbudowywał swoje nietrwałe mrowisko przy wielkiej drodze życia.

I kiedy został wreszcie popem, ożenił się z dobrą dziewczyną i miał z nią syna i córkę — myślał, że teraz wszystko w jego życiu popłynie dobrze i szczęście to będzie trwałe, jak u ludzi i że tak już pozostanie na zawsze.

I dziękował Bogu, gdyż wierzył głęboko i prosto: jako pop i jako człowiek o łagodnej duszy.

A stało się to w siódmym roku jego szczęścia — w upalne czerwcowe południe: wiejskie dzieci poszły się kąpać, a razem z nimi poszedł synek Ojca Bazylego — też Bazyli i taki sam — jak ojciec — czerniawy i cichutki. I utonął. Młodej popady, która przybiegła wraz ze wszystkimi na brzeg, na zawsze został w pamięci straszny obraz ludzkiej śmierci i przeciągłe, głuche uderzenia serca, jak gdyby każde uderzenie było już ostatnie, i niezwykła przejrzystość powietrza, wśród którego poruszały się zwykle, znajome, ale teraz jakieś obce i jak gdyby oderwane od ziemi postacie ludzi; i urywane, niewyraźne rozmowy, kiedy każdy wypowiedziany wyraz drży w powietrzu i zwolna topnieje wśród nowych rodzących się słów.

I na całe życie pozostał jej lęk jaskrawych słonecznych dni. Zawsze wtedy — widzi znów szerokie plecy, zalane słońcem, boscie nogi, mocno stojące wśród połamanych kaczanów kapusty, i miarowe ruchy czegoś białego, jaskrawego, na dnie czego miękko przewraca się leciutkie ciało, strasznie

bliskie, strasznie dalekie i na wieki obce. I długo jeszcze potem, kiedy Bazylego pochowano i trawa porosła jego mogiłę, popadya ciągle powtarzała modlitwę wszystkich nieszczęsnych matek: »Boże! weź moje życie, ale oddaj mi moje dziecko!«

Wkrótce wszyscy w domu O. Bazylego zaczęli się obawiać jaskrawych letnich dni, gdy słońce świeci zbyt jaskrawie i niepokojąco błyszczą kłamiwa rzeka, rozpalona słońcem.

W takie dni, kiedy wszystko wokoło się cieszyło — ludzie, zwierzęta i pola, domownicy O. Bazylego ze strachem spoglądali na popadę, rozmysłnie rozmawiali głośno i śmieli się, a ona powstawała leniwa i przygasła, patrzyła w oczy tak uważnie i dziwnie, że wzroku jej unikano i niemrawie włóczyła się po domu, szukając rozmaitych rzeczy: kluczy, łyżki, szklanki. Wszystkie rzeczy, jakich potrzebowała, starano się położyć na najbardziej widocznym miejscu, ale ona szukała w dalszym ciągu, szukała coraz uporczywiej, coraz niespokojniej, w miarę tego, jak wesołe, jaskrawe słońce wznosiło się na niebie coraz wyżej.

Zbliżała się do męża, kładła mu na ramieniu zimną rękę i pytająco mówiła:

— Bazyli — a Bazyli?

— Co — miła? — pokornie i beznadziejnie odpowiadał O. Bazyli i drżącymi, opalonymi palcami o zbrukanych ziemią, nieostrzyżonych paznogiach — poprawiał jej rozrzucone włosy. Po-

padya była jeszcze młoda i piękna i na lichej, domowej sutannie męża ręka jej leżała — niby marmurowa — biała i ciętka.

— Co, miła? Możebyś się napiła herbaty — jeszcześ nie piła?

— Bazyli — a Bazyli? — powtarzała pytająco, zdejmowała z jego ramienia swoją — jak gdyby nikomu niepotrzebną rękę i znów szukała, coraz niecierpliwiej, coraz niespokojniej. Z domu, obszedłszy wszystkie nieuprzątnięte pokoje, szła do ogrodu, z ogrodu na podwórze, potem znowu do domu, a słońce wznosiło się coraz wyżej i poprzez drzewa widać było, jak błyszczy cicha i ciepła rzeka.

I krok w krok, mocno trzymając się ręką za suknię matki, ponuro włóczyła się za popadyą, córka Naścia, poważna i pochmurna, jak gdyby i na jej sześćioletniem serduszku leżał czarny cień przyszłości. Dziecko starało się usilnie przystosować swoje małeńkie kroczyki do wielkich niespokojnych kroków matki, z podelba — z tęskną nudą oglądało ogród — dobrze znany, ale wiecznie tajemniczy i kuszący; a wolna jej ręka ponuro wyciągała się do kwaśnego agrestu i nieznacznie obrywała go, kalecząc się o ostre kolce. I od tych ostrych — jak igły — kolców, i od kwaśnego, chrupiącego agrestu robiło się jej jeszcze nudniej i chciało się skomleć, jak skomle wyrzucone szczenię.

Kiedy słońce podnosiło się aż do zenitu, popadya szczerze zamykała okiennice w swoim pokoju i w tym mroku upijała się, z każdego kieliszka czerpiąc ostrą tęsknotę i palące wspomnienie zaginionego syna. Płakała i opowiadała przeciągłym bezdźwięcznym głosem, jakim czytają trudną książkę ludzie nieumiejący czytać, opowiadała zawsze jedno i to samo o cichym, czarnym chłopczyku, któren żył, śmiał się i umarł; a w śpiewnych, jak gdyby z książek zaczerpniętych wyrazach — zmartwychwstawały jego oczy, uśmiech i mądre rozmowy — jak u starca.

— Wasia — mówię nieraz do niego — Wasia, poco krzywdzisz kotka? Nie trzeba krzywdzić — rodzony mój. Pan Bóg każe nad wszystkimi mieć litość: i nad konikami, i nad kotkami, i nad kurczakami. — A on — miły mój — wznosił ku mnie swoje jasne oczy i mówi: »a dlaczego kot nie żałuje ptaszków. Naprzykład — gołąbki wychowują swoje małe, a kot zjadł gołąbków i ptaszyny szukają, szukają, szukają swojej matki...«

O. Bazyli pokornie i beznadziejnie słuchał tych opowiadań, a na podwórzu pod zamkniętą okiennicą wśród łopuchów, bodziaków i gęstej pokrzywy siedziały na ziemi Naścia i ponuro bawiła się lalkami. I zawsze zabawa jej polegała na tem, że lalka umyślnie nie słuchała jej, a ona ją karała: boleśnie wykręcała jej ręce i nogi i biła ją pokrzywą.

Kiedy O. Bazyli po raz pierwszy ujrzał, że żona jest pijana i po twarzy jej wzburzonej i gorzko-radosnej zrozumiał — że to już na zawsze — skurczył się cały i zaśmiał się cichym, bezmyślnym śmiechem, zacierając suche gorące ręce. Długo śmiał się i długo zacierał ręce; usiłował powstrzymać ten niestosowny śmiech i odwracając się od gorzko-płaczącej żony — śmiał się cichutko, zasłaniając się ręką, jak uczeń.

Ale potem odrazu spowaźniał i szczęki jego zwarły się, jak żelazne: ani jednego słowa pociechy nie mógł powiedzieć ciskającej się popadyi, ani jednego słowa pieszczoty — wymówić. Kiedy popadya usnęła, pop przeżegnał ją trzy razy, odnalazł w ogrodzie Naścię, chłodno poglądził ją po główce i poszedł w pole. Długo szedł miedzą wśród bujnie wyrostego żyta i patrzył w dół na miękkie, białe proch, na którym widać było gdzieś głębokie ślady obcasów i krągłe, wyraźne odciski czyichś bosych stóp. Przydrożne kłosa były poگیęte i połamane, niektóre leżały wpoprzek miedzy i były zgniecione, ciemne i spłaszczone.

Na zakręcie miedzy O. Bazyli zatrzymał się.

Przed nim i wokoło — daleko — jak okiem sięgnąć, kołysały się na cienkich łodygach ciężkie kłosa, nad głową rozpościerało się bezbrzeżne, płomienne czerwcowe niebo, zbielełe od upału — i nic więcej, ani drzewka, ani żadnej budowy, ani człowieka. Był sam — zbłąkany wśród gęstych

kłosów, przed obliczem wysokiego, płomienno nieba.

Wzniósł oczy ku górze — oczy te były małe, zapadłe, czarne jak węgiel, a w nich, odbijając się od nieba, gorzał jaskrawym światłem płomień. — Przycisnął ręce do piersi i chciał coś powiedzieć.

Drgnęły, ale nie rozwarły się zamknięte żelazne szczęki; zgrzytnąwszy zębami — pop z siłą rozwarł je i wraz z tym ruchem ust jego, podobnym do konwulsyjnego poziewania — zadźwięczały głośne, wyraźne słowa:

— Wierzę.

Bez echa zaginął w pustyni niebios i gęstych kłosów ten modlitewny jęk, tak obłudnie podobny do wyzwania. I jakby odpowiadając komuś, jakby przekonywując kogoś namiętnie i przestrzegając znów powtórzył: Wierzę!...

Wróciwszy do domu znów gromadził ziarnko do ziarnka i zaczął wznosić na nowo swoje zburzone mrowisko: pilnował udoju krów, sam cesał długie, twarde włosy ponurej Naści i pomimo spóźnionej godziny pojechał o dziesięć wiorst do lekarza, aby zasięgnąć rady na chorobę żony. I doktor dał mu flaszkę z kroplami.

II.

O. Bazylego nie lubił nikt, ani parafianie, ani służba kościelna. Mszę odprawiał źle, nieuroczyście; głos miał suchy, mówił niewyraźnie, to śpieszył tak, że dyak zaledwie mógł zdążyć za nim, to nie wiedzieć dlaczego — marudził. Interesowny nie był, ale tak jakoś niezręcznie przyjmował pieniądze i ofiary, że wszyscy mieli go za skąpego i za oczy śmieli się z niego.

Cała okolica wiedziała, jak bardzo nieszczęsne było jego życie i z obrzydzeniem odsuwali się od niego, uważając za zły prognostyk każde spotkanie z nim i każdą rozmowę. Na imieniny swoje, które obchodził 28-go listopada, zapraszał na obiad wiele gości i na jego niskie ukłony wszyscy zaproszenie przyjmowali, ale zjawiała się tylko służba kościelna; a z pośród znacniejszych parafian nie przychodził nikt. I wstyd było przed służbą kościelną, a największa krzywda działa się popadyi,

gdyż wychodziły tylko niepotrzebnie przywiezione z miasta przekąski i wina.

— Nikt nawet przyjść nie chce — mówiła trzeźwa i smutna, kiedy pijani i nieprzystojni goście rozchodzili się do domów, goście, co nie znali się ani na drogich winach, ani na przekąskach i w których wszystko jednakowo ginęło — jak w przepaści.

Najgorzej usposobiony był dla popa kościelny starosta — Iwan Porfirjewicz Koprow — ten otwarcie pogardzał człowiekiem, któremu się wszystko w życiu nie wiodło — a potem — kiedy w całej wsi dowiedziano się o strasznych pijatykach popadyi, zdecydował, że przestanie całować popa w rękę. Dobroduszny dyak napróżno przekonywał go: »wstydz się, przecie nie przed człowiekiem się korzysz — a przed duchownym stanem...«

Ale Iwan Porfirjewicz nie chciał odłączyć człowieka od stanu i odpowiadał:

— Taki człowiek niema żadnej wartości. Ani sobą nie umie kierować, ani swoją żoną. Czyż to możliwe, aby żona popa tak się upijała bez żadnego wstydu, bez sumienia. Niechby moja spróbowała tak pić — dopieroby dostała!

Dyak z wyrzutem pokiwał głową i opowiedział przypowieść o cierpiącym Hiobie: jak Pan Bóg kochał go i pozwolił, aby szatan go kusił, a potem stokrotnie wynagrodził jego męki.

Ale Iwan Porfirjewicz ironicznie uśmiechał się

i bez żenady przerwał rozmowę, która mu się nie podobała:

— Niepotrzebnie to opowiadasz — sam o tem wiem. Ale to był Hiob — człowiek sprawiedliwy — człowiek święty — a to kto? Jaka jest jego sprawiedliwość? — Ty — dyaku — lepiej co innego przypomnij: Pan Bóg piętnuje łotra. Przysłowie to ma głęboki sens.

— No — poczekaj — dostaniesz ty od popa, jeśli go w rękę nie pocałujesz. Wypędzi cię z cerkwi.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy.

I poszli o zakład o ćwierć wiśniówki, czy pop wypędzi, czy nie. Wygrał starosta: zuchwale odwrócił się od popa i wyciągnięta ręka, bronzowa od opalenizny — jak osierocona zawisła w powietrzu, a O. Bazyli oblał się gorącym rumieńcem, ale nie rzekł ni słowa.

Po tym wypadku, o którym mówiła cała wieś, Iwan Porfirjewicz jeszcze bardziej był przekonany, że pop — to człowiek zły i niegodny i zaczął namawiać chłopów, aby się poskarżyli na O. Bazylego do eparchii i prosili o innego popa.

Iwan Porfirjewicz był bogaty, bardzo szczęśliwy i przez wszystkich szanowany. Twarz miał wybitną, o twardych wypukłych policzkach, z dużą czarną brodą i takie same czarne włosy miał na całym ciele, najbardziej na nogach i piersi i wie-

rzył w to, że właśnie te włosy przynoszą mu szczęście. Wierzył w to tak święcie, jak wierzył w Boga, uważał siebie za wybrańca z pośród wszystkich ludzi, był hardy, pewny siebie i zawsze wesół. W czasie strasznej katastrofy kolejowej, kiedy zginęło moc ludzi, stracił tylko czapkę, która cała przejeżdżona była przez glinę.

I ta czapka była już stara — dodawał z zadowolaniem i uważał ten wypadek za wielką swoją zasługę. Wszystkich ludzi z całym przekonaniem miał za łajdaków i durni i nie miał litości ani dla jednych, ani dla drugich, własnoręcznie wieszał szczenięta, które miewała czarna suczka, Cyganka, co rok w wielkiej obfitości. Jednego tylko szczeniaka — największego — zostawiał dla siebie, a jeśli go proszono, chętnie rozdawał pozostałe, uważał bowiem psy za potrzebne zwierzęta.

Sądy wydawał Iwan Porfirjewicz bez namysłu i bez podstaw i łatwo zmieniał zdanie, często nie spostrzegając nawet tego, ale w postępowaniu swem był twardy, zdecydowany i prawie zawsze nieomylny.

Nieszczęsny, wiecznie załębiony pop miał starostę za jakiegoś człowieka niezwykłego, straszego. Przy spotkaniu pop pierwszy z niezwykłym pośpiechem zdejmował kapelusz o szerokich rondach i mijając starostę czuł, że kroki jego stają się szybsze i nierówne, jak kroki człowieka, którego czegoś się wstydzi, odczuwa jakiś strach — i płaczą

mu się żyłaste nogi w długiej sutannie. Zdawało mu się, że okrutny, tajemniczy los jego wcielił się w ogromną czarną brodę, w ręce, porosłe włosom i w twarde, pewny chód starosty i że jeśli O. Bazyli nie skurczy się cały, nie usunie się z drogi, nie ukryje się za swemi ścianami, to ten groźny potwór rozdepce go, jak mrówkę. I wszystko to, co należało do Iwana Porfirjewicza Koprowa i dotyczyło go w jakikolwiekby sposób — zajmowało popa tak bardzo, że niekiedy po całych dniach nie mógł myśleć o niczem innem, tylko o starości, jego żonie, jego dzieciach i bogactwie.

Pracując w polu — razem z chłopami, sam podobny do chłopu w prostych grubych butach i chłopskiej koszuli, O. Bazyli zwracał się ku wsi i pierwsza rzecz, jaką spostrzegał poza cerkwią, był czerwony żelazny dach piętrowego domu starosty. Dopiero potem wśród zwichrzonej przez wiatr szarej zieloności olch z trudnością odnajdywał drewniany, ściemniały dach swego domku: było coś takiego w tych dwóch niepodobnych do siebie dachach, że smutek i beznadziejność zaplanowały w sercu popa. Pewnego razu, w święto Podniesienia Św. Krzyża, popadya wróciła z cerkwi cała we łzach i opowiedziała, że Iwan Porfirjewicz obraził ją. Gdy popadya szła na swoje miejsce, starosta, stojąc koło kantorka, odezwał się tak głośno, że wszyscy słyszeli:

— Tej pijaczki nie trzeba byłoby nawet wpuszczać do cerkwi. Wstyd!

Popadya opowiadała i płakała, i O. Bazyli widział dziwnie i okrutnie wyraźnie, jak ona postarzała i zmieniła się przez te cztery lata od śmierci Bazylego.

Młoda jeszcze była, a we włosach ukazywały się srebrne nici, białe zęby — szczyrniały i zapuchły oczy. Paliła teraz, i dziwnie i boleśnie było widzieć w jej ręku papieros, którym trzymała niezręcznie, po kobiecemu pomiędzy dwoma wyprostowanymi palcami.

Paliła i płakała i papieros drżał w jej wargach spuchniętych od łez.

— Boże, za co? Boże! — tęsknie powtarzała i z tępą uwagą patrzyła w okno, poza którym mrzył wrześniey deszcz. Szyby były zmaczone od wody i wielki, chwiejny cień ociążonej brzozy kołysał się jak widmo. W domu nie palono jeszcze w piecach, oszczędzając drzewa, i powietrze było chłodne, wilgotne, nieprzyjemne, jak na dworze.

— I cóż z nim począć — Naścia — bronił się pop, mnąc gorące, suche ręce. — Trzeba cierpliwie znosić!

— Boże, Boże! i obronić nikt nie może!... — płakała popadya; a w kącie, po przez twarde splątane włosy nieruchomie, jakimś suchym ogniem płonęły wilcze oczy ponurej Naści.

Na noc popadya upijała się i wtedy rozpoczęło się dla Ojca Bazylego to, co było takie straszne, obmierzłe i nieszczęsne, o czym nie mógł myśleć bez strachu i wstydu nie do zniesienia. Wśród chorobliwej nocy zamkniętych okiennic, wśród potwornych widzeń, zrodzonych z alkoholu, przy nużących dźwiękach upartych rozmów o zginionym synu pierworodnym — żonie jego świeża obłąkańcza myśl: zrodzić nowego syna, w którym zmartwychwstanie ten zmarły tak przedwcześnie. Odrodzi się jego miły uśmiech, odrodzą się jego oczy, błyszczące łagodnym światłem, i ciche rozumne jego rozmowy — odrodzi się on sam — w całym pięknie swego czystego dzieciństwa — taki, jakim był w ten straszny czerwcowy dzień, kiedy słońce jaskrawo płonęło i oslepiająco tyskała kłamiwa rzeka.

Płonąc tą obłąkaną nadzieją, cała zczerwieniona i ohydna od tego ognia, co ją palił, popadya domagała się od męża pieszczot, poniżając się — błagała o nie.

Starala się ładnie wyglądać i łasiła się do niego, ale nie mogło usunąć wyrazu przerażenia z ciemnej twarzy popa i męcząco i boleśnie usiłowała stać się znów taką pieszczotliwą i pożądaną, jak przed dziesięciu laty, starała się nadać swej twarzy skromny i naiwny wyraz i szeptała niewinne, dziewczęce słowa, ale pijany język nie słuchał jej, po przez spuszczone rzęsy jeszcze

jaskrawiej i wyraźniej błyszczał ogień namiętnego pożądania — a strach i przerażenie zastygły na ciemnej twarzy jej męża. Ukrywał w rękach rozpaloną głowę i bezsilnie szeptał:

— Nie trzeba! Nie trzeba!

Wtedy kłękała przed nim i schrypniętym głosem — błagała:

— Zlituj się nade mną! Oddaj mi Wasię! Oddaj — popie! Oddaj — mówię ci — przekłety!...

A do szczelnie zamkniętych okiennic uparcie dobijał się jesienny deszcz i głęboko, ciężko wzdychała dżdżysta noc. Ścianami i nocą — odcięci od ludzi i życia — wirowali w zawierusze tego dzikiego snu — bez wyjścia, a wraz z nimi — nie mogąc skonać wirowały dzikie skargi i przekleństwa. Obłąd stał u drzwi ich domu; palące powietrze było jego oddechem — ponsowy ogień lampy — duszący się w głębi czarnego, zakopconego szkiełka — to były jego oczy.

— Nie chcesz! Nie chcesz? — krzyczała popadya i żądzą macierzyństwa rozszalała — rwała na sobie odzież, bezwstydnie obnażając całe ciało, płomienna i straszna — jak bachantka, wzruszająca i straszna, jak matka tęskniąca za synem.

— Nie chcesz? Więc na Boga klnę się — na ulicę wyjdę! Naga pójdę! Pierwszemu spotkanemu mężczyźnie na szyję się rzucę! Oddaj mi Wasię — przekłety!...

I namiętność jej zwyciężała skromnego popa.

Wśród przeciągłych jęków jesiennej nocy, wśród chaosu obłąkanych słów — kiedy samo życie wieczyście kłamujące, jak gdyby obnażało swoje ciemne tajemnicze wnętrze — w zmaconym jego umyśle drgała — jak letnia błyskawica — potworna myśl o jakimś cudownym wskrzeszeniu, o jakiejś dalekiej, cudownej możliwości.

I na wściekłą żądzę popadyi — on skromny i wstydlivy — odpowiadał taką samą wściekłą żądzą — w której wszystko było: i jasna nadzieja i modlitwa i bezbrzeżna rozpacz wielkiego — przestępcy.

Późno w nocy, kiedy popadya zasnęła, O. Bazyli wziął kapelusz i laskę i nie ubierając się, w starej, lekkiej sutannie wyszedł w pole.

Nad rozmiękłą ziemią wisiała wilgotna zimna warstwa drobniutkich kropelek wody; niebo — czarne było, jak ziemia — i wielka — nie mająca przytułku — była ta jesienna noc. W ciemności tej człowiek ginął bez śladu; laska uderzyła o jakiś przydrożny kamień i ucichło wszystko i zapanaowało długie milczenie. Martwa, wodna kurzawa swym lodowym uściskiem dławiła każdy nieśmiały dźwięk i nie kołysały się zmartwiałe liście, i nie zabrzmiał żaden głos, żaden krzyk, żaden jęk...

I była długa, martwa cisza...

I daleko za wsią, o wiele wiorst od mieszkań ludzkich zabrzmiał w ciemnościach niewidzialny głos. Głos był złamany, zduszony, głuchy, jak jęk

wielkiej sierocej doli — doli bez przytułku. Ale słowa wyrzeczone — były jaskrawe — jak ogień z niebios.

— Wierzę — zabrzmiał niewidzialny głos.

Groźba i modlitwa, ostrzeżenie i nadzieja — były w tym głosie.



Wyprzystojniała, przestała się obawiać Iwana Porfirjewicza i w cerkwi, idąc na swoje miejsce — dumnie wyprostowywała swój zaokrąglony brzuch i obrzucała ludzi śmiałem i pewnem wejrzaniem. Aby w jakiś sposób nie zaszkodzić dziecku — zaprzestała wszelkiej ciężkiej domowej roboty i całe dnie spędzała w pobliskim rządowym lesie, zbierając grzyby. Obawiała się ogromnie połogu i wróżyła z grzybów, czy ten połów odbędzie szczęśliwie, czy nie. Najczęściej wypadało, że szczęśliwie. Czasem wśród zeszlorocznych, przegniłych liści, ściemniałych i pachnących pod nieprzeniknionem, zielonem sklepieniem wysokich gałęzi, odnajdywała całą rodzinę prawdziwych grzybków, które przyciskały się jeden do drugiego; i wydawało się jej, że te grzybki naiwne, o ciemnych główkach podobne są do małych dzieci i to zaostrzało w niej czułość i zachwył. Z jakimś nieokreślonym, szczerym uśmiechem, jaki zjawia się u ludzi, kiedy mają dobre myśli i są samotni — popadya ostrożnie rozrzuciła koło korzeni włóknistą, szaro-popielatą ziemię, przysiadła obok grzybków i długo przyglądała się im z lubością, bladawa od zielonych cieni lasu, ale piękna, spokojna i dobra.

Potem znów szła kołyszącym się i ostrożnym krokiem ciężarnej kobiety, a gęsty las, gdzie chroniły się małe grzybki, zdawał się jej żyjącym, rozumnym i łagodnym.

Raz jeden wzięła ze sobą Naścię, ale ta ska-

III.

Na wiosnę popadya zaszła w ciążę, przez całe lato nie piła i w domu O. Bazylego zapanował cichy i radosny spokój. Jednak z ręki niewidzialnego wroga tak jak i dawniej spadały nieszczęścia: zdechł dwunasto-pudowy wieprz, przygotowany na sprzedaż, to znów u Naści na całym ciele zjawiły się jakieś liszaje, których nie można było wyleczyć — ale wszystko to znoszono z łatwością, a popadya w głębi duszy nawet się z tego cieszyła: ciągle jeszcze wahała się, czy ma uwierzyć w to swoje wielkie szczęście i wszystkie niepowodzenia, jakie ją spotykały — uważała jako zapłatę za to szczęście. Zdawało się jej, że jeśli zdechnie drugi wieprz, Naścia zachoruje jeszcze bardziej i jeśli się stanie jeszcze jakie nieszczęście — to mającego się narodzić jej syna — nie ośmieli się nikt dotknąć, ani skrzywdzić. A za tego syna — nietylko dom i Naścię, ale i siebie, i duszę swoją — oddałyby z radością temu nieznanemu, bezlitosnemu, którego wymagał nieustannych ofiar.

kała, hałasowała, rzucała się pomiędzy krzakami, jak rozweselony wilczek i przeszkadzała popadyi myśleć: więcej jej nie brała.

I zima mijała dobrze i spokojnie. Wieczorami popadya szyła małeńkie koszulki i pieluszki, i porażona w zadumie rozprostowywała płótno białymi palcami, oświetlonymi jasnym światłem lampy. Wyprostowywała i wygładzała ręką miękką tkaninę, jakby pieszcząc się z nią, a myśli jej były jakieś odmienne od wszystkiego, jej własne, macierzyńskie — i w błękitnym cieniu abażuru wydawało się popowi, że piękna jej twarz oświetlona jest z wewnątrz jakimś miękkim delikatnym światłem. Obawiając się, aby nieostrożnym ruchem nie spłoszyć jej pięknej i radosnej zadumy, ojciec Bazyli cicho chodził po pokoju i nogi jego w miękkich pantoflach stąpały delikatnie bez szelestu. Spoglądał to na pokój, potulny, dobry i przyjemny, jakim bywa przyjaciel, to na żonę i wszędzie było dobrze, jak u ludzi i wszędzie był radosny, głęboki spokój. I dusza jego uśmiechała się radośnie i nie spostrzegał, nie wiedział, że przezroczy cień wielkiego nieszczęścia milcząco i cicho dotyka czoła jego — gdzieś pomiędzy brwiami. Bowiem i w te dni spokoju i wypoczynku nad życiem jego wisiało nieubłagane, tajemnicze fatum.

W noc Bożego Narodzenia popadya szczęśliwie powiła syna i dano mu na imię Bazyli. Dziecko miało dużą głowę i cieniutkie nóżki i coś dziwnie

tępego i bezmyślnego w nieruchomym wzroku okrągłych oczu. Trzy lata przeżyli pop i popadya w strachu, niepewności i nadziei i po trzech latach zrozumiano wreszcie, że nowy Wasia od urodzenia był idotą.

W obłąkaniu poczęty, obłąkany przyszedł na świat.

wtarzała, że trzeba zreperować pończochy męża i niby zabierała się do reperacji, tymczasem pończochy były zawsze dziurawe i ojciec Bazyli ścierał sobie nogi.

W nocy wszyscy przewracali się po łóżkach i męczyło ich robactwo, które wydostało się ze wszystkich szczelin, łąziło po ścianach i w żaden sposób nie można było zapobiedz temu ohydnemu najściu.

Chodząc, pracując, ani przez chwilę ci ludzie nie mogli zapomnieć, że tam, w nawpół ciemnym pokoju żyje ktoś nieoczekiwany i straszny z obłędu zrodzony. Kiedy wychodzono z domu na świat, starano się nie odwracać i nie oglądać się, ale nikt nie mógł wytrzymać i odwracano się, i wtedy zdawało się, że nawet ten dom drewniany odczuwa straszną przemianę; zdawało się, że zmał, skurczył się — i przysłuchuje się czemuś straszniemu, co zawiera jego wnętrze — i że wszystkie wytrzeszczone okna i drzwi szczelnie zamknięte, z trudem powstrzymują krzyk śmiertelnego strachu.

Popadya często chodziła w gościnę i całe godziny przesiadywała u żony dyaka, ale i tam spokoju zaznać nie mogła; zdawało się, że pomiędzy idyotą a nią przeciągnięte były cienkie, jak pajęczyna, nici, które łączyły ich mocno i na zawsze. I gdyby nawet poszła na koniec świata, gdyby się ukryła za wysokie klasztorne mury, gdyby nawet umarła — to i wtedy — do mrocznej mogiły po-

IV.

Minął jeszcze rok jeden w ciężkiem osłupieniu, jakie wywołało nieszczęście i gdy ludzie ocknęli się i zaczęli sobie zdawać sprawę — nad wszystkimi ich myślami, nad całym ich życiem panowała straszna postać idyoty. Tak, jak i dawniej palono w piecach, zajmowano się gospodarką i ludzie rozmawiali o swoich interesach, ale było w tem wszystkim coś nowego, coś straszego: nikt nie miał chęci do życia i wszystko się chyliło ku upadkowi. Parobcy pracowali leniwo, nie robili tego, co im kazano i często — bez żadnej przyczyny — porzucali miejsce, a tych, co ich zmieniali, po dwóch — trzech dniach ogarniała jakaś dziwna tęsknota i obojętność i zaczynali zuchwale odpowiadać.

Obiad podawano to późno, to wcześniej i zawsze kogoś brakowało przy stole: to popadyi, to Naści, lub też i ojca Bazylego. W domu zebrało się dużo zniszczonej bielizny i ubrania i popadya ciągle po-

włóczą się za nią cienkie, jak pajęczyna, nici i oplaczą ją niepokojem i strachem.

I nawet w nocy nie znano spokoju: spokojne były twarze śpiących, a pod czaszkami ich w dziwacznych marzeniach i majaczeniach wyrastał potworny świat obłądu i światem tym władała zagadkowa i straszna postać — pół dziecka, pół zwierza...

Chłopak miał cztery lata, ale jeszcze chodzić nie zaczynał i umiał wymówić tylko jeden wyraz: daj; był zły i wymagający i jeśli nie chciano mu czegoś dać, głośno krzyczał złym, zwierzęcym głosem i wyciągał przed siebie ręce z palcami, drapieżnie zgiętymi. Brudny i nieporządnny był — jak zwierzątko, trzeba było tylko ciągle zmieniać pościel, a to było połączone z największą męczarnią: ze złośliwą chytrą wyczekiwał chwili, kiedy schylała się ku niemu głowa matki lub siostry i rękoma wpijał się w ich włosy, wyrывая całe pasma. Pewnego razu ukąsił Naścię; ona go przewróciła na łóżku i długo bezlitośnie biła go, jakby to nie był człowiek, nie dziecko, a kawał złego mięsa; po tym wypadku nauczył się kąsać i groźnie szczyrzył zęby, jak pies.

Również uciążliwie było go karmić: łakomy i niecierpliwy nie umiał wymiarkować swych ruchów: wywracał filiżankę, dławił się i ze złością wyciągał skurczone palce w kierunku ich włosów.

Straszny i obmierzły był widok tego dziecka:

na wąskich zupełnie jeszcze dziecinnych plecach miał malutką czaszkę z wielką, nieruchomą i szeroką twarzą, jak u dorosłego. Coś niepokojącego i przerażającego było w tej dzikiej dysproporcji pomiędzy głową i ciałem i zdawało się, że dziecko włożyło nie wiedzieć poco jakąś ogromną i straszna maskę.

I tak, jak dawniej, zaczęła pić umęczona popadya. Piła dużo, do utraty przytomności i do choroby, ale i silny alkohol nie mógł jej wyprowadzić z żelaznego koła, gdzie panował straszny i niezwykły obraz pół-dziecka, pół-zwierza. Tak, jak i dawniej, szukała w wódce palących i bolesnych wspomnień o straconym synu pierworodnym, ale wspomnienia te nie zjawiały się i z ciężkiej martwej pustki nie wyłaniał się ku niej żaden obraz, żaden dźwięk. Całą siłą rozpalonego mózgu starała się wywołać w pamięci miłą twarzyczkę cichego chłopczyka, nuciła piosnki, które on śpiewał, uśmiechała się tak, jak on się uśmiechał, wyobrażała sobie, jak on się dławił i zachłystywał się milczącą wodą — i zdawało się, że już — już zbliżał się i rozpalala się w jej sercu wielka, namiętnie pożądana boleść, gdy wtem — nieuchwytnie dla oczu i uszu — wszystko się zapadało, wszystko znikało i w zimnej martwej pustce ukazywała się straszna, nieruchoma maska idyoty.

I zdawało się popadyi, że drugi raz pochowała Wasię i głęboko go zakopała i chciała rozwalić

głowę, w głębi której zuchwale panuje obcy i obmierzły obraz.

Przerażona miotła się po pokoju i wołała męża:

— Bazyli! Bazyli! prędzej — przyjdź tu!

O. Bazyli przychodził i milcząc siadał w nieoświetlonym kącie; i był taki obojętny, taki spokojny, jakby wokoło niego nie było ani krzyków, ani obłędu, ani strachu. Oczu jego nie było widać i z pod ociężałej arkady jego brwi nieruchomie patrzyły dwie czarne, głębokie plamy i wychudzona twarz jego podobna była do czaszki. Opierając podbródek na kościstej ręce, zamierał w ciężkiem milczeniu i w nieruchomości, gdy tymczasem uspokojona popadya z obłądną pedanterią zastawiała drzwi, poza którymi mieszkał idyota. Przysuwała stoły i krzesła, rzucała na nie poduszki, ubranie, ale to wszystko wydawało się jej jeszcze za mało. I z siłą pijanego człowieka podnosiła ciężką staroświecką komodę i sunęła ją do drzwi, drapiąc podłogę.

— Odsuń krzesła — z zapartym tchem wołała do męża i on w milczeniu wstawał, odsuwał krzesła i znów siadał w swym kącie. Na chwilę popadya uspakajała się, siadała, przyciskając bijące serce — ręką, ale natychmiast zrywała się i odrzucając z nad uszu opadające włosy z przerażeniem przysłuchiwała się czemuś, co jak się jej zdawało — dzieje się za drzwiami.

— Słyszysz? — Bazyli, słyszysz?...

Dwie czarne plamy nieruchomo patrzyły na nią i zobojętniały, daleki głos odpowiadał:

— Tam cicho. On śpi. Uspokój się Naścia.

Popadya zaś uśmiechała się jasno i radośnie, jak dziecko, i niezdecydowana siadała na brzeżku krzesła.

— Naprawdę? Śpi? Widziałeś sam? Nie kłam: kłamać grzech.

— Tak, widziałem. Śpi.

— A któż tam rozmawia?

— Niema tam nikogo. Przywidziało ci się.

I popadya tak weselała, że głośno śmiała się, żartobliwie kiwała głową i odpędzała coś ręką, jak gdyby jakiś zły duch chciał z niej zażartować i nastraszyć ją, a ona zrozumiała ten żart i teraz się śmieje.

Ale bez echa — jak kamień, co leci w otchłań bez dna — zadźwięczał jej śmiech samotny — i skonał natychmiast i jeszcze usta jej wykrzywił uśmiech, gdy w oczach rósł chłodny strach. I była taka cisza, jakby się nikt i nigdy nie śmiał w tym pokoju — i z rozrzuconych poduszek, z powywracanych krzesel, takich dziwnych, gdy się na nie patrzy z dołu, z ciężkiej komody, niezgrabnie stojącej na niezwykłym miejscu — zewsząd wyglądało głodne oczekiwanie jakiegoś wielkiego nieszcześcia, jakichś nieznanych strachów, których dotychczas nie zaznał żaden człowiek. Zwracała się

do męża — i widziała, że w czarnym kącie mętnie szarzała postać wydłużona, wyprostowana, niewyraźna — jak widmo; przysuwała się bliżej — przed nią twarz, która patrzy na nią nie oczyma — ukrytymi za czarnym cieniem brwi, a białymi plamami czoła i ostrych kości policzkowych. I szybko oddychając głośnym oddechem strachu zcicha się skarżyła:

— Wasia! Boję się ciebie! Naprawdę, taki ty jesteś! Chodź tu do światła.

O. Bazyli pokornie zbliżał się do stołu i ciepłe światło lampy padało na jego twarz, ale nie mogło jej rozgrzać. Twarz to była spokojna, nie było w niej żadnego strachu i to uspokajało popadyę. Zbliżając wargi do samego ucha — O. Bazylego, szeptem pytała:

— Popie! popie! Pamiętasz ty Wasię... — tamtego — Wasię?...

— Nie.

— Aha! — cieszyła się popadya — też nie pamiętasz. I ja nie pamiętam. A straszno ci — popie? A? Straszno?

— Nie.

— A czegoż ty stękasz przez sen? Czego stękasz?

— Tak sobie. Niezdrów jestem.

Popadya gniewnie się zaśmiała:

— Ty? Niezdrów? Ty jesteś niezdrów? —

pchnęła go palcem w kośćistą, ale szeroką, twardą pierś. — Po co kłamiesz?

O. Bazyli milczał. Popadya ze złością spoglądała na jego zimną twarz, dawno niestrzyżoną brodę, która przezroczytymi kępkami okrywała jego wpadnięte policzki i z obrzydzeniem ruszała plecami.

— U-ach! Co się z tobą stało! Wstretny, zły, zimny, jak żaba. U-ach! Czyż ja winna jestem, że on się taki urodził? No — powiedz. O czym myślisz? O czym ty ciągle myślisz, myślisz, myślisz?...

O. Bazyli milczał i uważnym, drażniącym spojrzeniem studyował bladą, wymęczoną twarz popadyi. I kiedy milkły ostatnie dźwięki tej mowy bez związku, męcząca, niewzruszona cisza żelaznym obręczem opasywała jej głowę i piersi, zdawało się, że wyciska z niej szybkie i nieoczekiwane słowa:

— A ja wiem! a ja wiem! ja wiem — popie!

— Cóż ty wiesz?

— Wiem, o czym rozmyślasz. Ty — popadya umilkła na chwilę i ze strachem odsunęła się od męża — ty... w Boga nie wierzysz. Ot co!...

I gdy już wymówiła, poczuła, jak straszną rzecz powiedziała i bolesny uśmiech — błagający o przebaczenie, rozchylił jej spuchnięte, pogryzione wargi, spalone wódką i ponsowe — jak krew. I ucie-

szła się, gdy zbladły pop odpowiedział głosem ostrym i moralizatorskim:

— Nieprawda. Myśl o tem, co mówisz. Ja wierzę w Boga.

I znów zapadło milczenie — znów cisza, ale było w niej coś łagodnego, co miękko otulało popadę, jak ciepła woda. Spuszczając oczy, wstydliwie prosiła:

— Czy mogę — Wasia — napić się trochę wódki. Potem zasnę prędzej, a przecie już późno — naląła ćwierć szklanki, potem niezdecydowana dołąła jeszcze i wypila aż do dna, pijąc bez przerwy małutkimi łykami, tak jak piją kobiety. Uczuła ciepło w piersiach i zapragnęła jakiejś wesołości, zabawy, światła i dźwięku ludzkich głośnych głosów.

— Wiesz co zrobimy — Wasia? Będziemy grali w karty, w durnia. Zawołaj Naścię. Oto będzie przyjemnie: tak lubię grać w karty, w durnia. Wasia — miły mój — zawołaj? Pocałuję cię za to.

— Już późno. Ona śpi.

Popadya tupnęła nogą:

— Zbudź! Idź natychmiast.

Przyszła Naścia, cienka, wysoka, jak ojciec — o dużych rękach zgrubiałych przy robocie; była zmarznięta, dygocąc otulała się krótką chustką i w milczeniu rachowała zatłuszczone karty.

I tak w milczeniu zasiedli do gry śmiesznej i wesołej w tym chaosie pozsuwanych z miejsca

i przewracanych mebli, wśród głębokiej nocy, kiedy oddawna spało wszystko: i ludzie i zwierzęta i pola.

Popadya żartowała, śmiała się, kradła z talii atuty i wydawało się jej, że wszyscy się śmieją i żartują; ale zaledwie skoła ostatni dźwięk jej rozmowy, ta sama niewzruszona i groźna cisza stawała przed nią i dusiła ją. I straszno było patrzeć na te dwie pary niemych kościstych rąk, ruszających się po stole wolno — bez szelestu, jak gdyby te ręce tylko były żywe — i nie istnieli ludzie, do których te ręce należały. Wzdrygnawszy się, w pijanem, nieprzytomnem oczekiwaniu czegoś nadprzyrodzonego — patrzyła w stronę stołu — dwie zimne, dwie blade, dwie ponure twarze samotnie odbijały na tle nocy i chwiały się w dziwnym, niemy tańcu — dwie zimne — dwie ponure twarze. Mrucząc coś, popadya napiła się wódki i znowu suwały się bez szelestu kościste ręce i cisza zaczynała huczeć i ktoś nowy, czwarty zjawiał się koło stołu.

Drapieżnie zgięte palce przebierały karty, potem posuwały się w stronę popadyi, biegły jak pająki po jej kolanach, dobierały się do gardła...

— Kto tu? — krzyczała popadya, wstawała i dziwiła się, że wszyscy już stoją i ze strachem spoglądają na niego. I było ich tylko dwoje — mąż i Naścia.

— Uspokój się — Naścia. Jesteśmy przy tobie. Więcej nikogo niema.

— A on?

— Śpi.

Popadya przysiadła i na chwilę wszystko przestało wirować i mocno stało na swoim miejscu. I twarz O. Bazylego była dobra.

— Wasia — a co będziemy robić, gdy on zacznie chodzić?

Odpowiedziała Naścia:

— Dziś podawałam mu kolację i widziałam, że porusza nóżką.

— Nieprawda — powiedział pop, ale słowo to zadźwięczało jakoś głucho — daleko — i wtem — w jakimś obłąkanym wicherze wszystko zaczęło wirować — zatańczyły ognie i cienie i zewsząd schylały się nad popadyą jakieś widma bez oczu. Chwiały się i oślepie włożyły na nią, dotykały jej pokureczonymi palcami, rwały odzież, dusiły za gardło, wpijały się we włosy i gdzieś ją wlekły za sobą. A ona czepiała się podłogi połamanymi paznogciami i krzyczała. Biła głową o podłogę, zrywała się do biegu, rwała na sobie suknie. I tak była silna w napadzie obłądzenia, jaki ją ogarnął, że O. Bazyli z Naścią nie mogli sobie dać z nią rady i trzeba było zawołać kucharkę i parobka. We czworo pokonali ją, skrępowali jej nogi i ręce ręcznikami, położyli ją do łóżka i został przy niej tylko O. Bazyli. Nieruchomie stał przy łóżku i patrzył,

jak konwulsyjnie wyginało się i kureczyło jej ciało i lzy ciekły z pod zamkniętych powiek. Schrypniętym od krzyku głosem — błagała:

— Ratujcie! Ratujcie!

Dziki, żaloszny i straszny był ten samotny krzyk o ratunek i znikąd nie było odpowiedzi. Jak koszula śmiertelna otulała go głucha, zobojętniała cisza i sam był jak umarły w tej sukni umarłych. Dziwnie jakoś sterczały nogi powywracanych krzesel i wstydliwie wyglądały ich siedzenia; stara komoda wykrzywiła się jakoś niezwykle i noc milczała. I coraz słabiej, coraz żałośniej drżał samotny głos, błagając o ratunek.

— Ratujcie! Boli mię! Ratujcie! Wasia! Wasia — mój miły!

Zimnym — dziwnie spokojnym ruchem — nie ruszając się z miejsca — podniósł O. Bazyli ręce i objął niemi głowę tak, jak przed półgodziną robiła popadya i tak samo wolno, spokojnie opuścił ręce i pomiędzy palcami jego drżały długie, czarne i siwe nici włosów.

V.

Wśród ludzi, interesów ich i rozmów O. Bazyli był tak zupełnie osamotniony, tak zupełnie obcy, jak gdyby nie był człowiekiem, a tylko ruchomym cieniem człowieka.

Robił wszystko, co robili inni, rozmawiał, pracował, pił i jadł, ale czasami zdawało się, że tylko imituje czynności żywych ludzi, a sam żyje w jakimś innym świecie, dokąd nikt wstępu nie ma. I każdego, kto go widział — zapytywał się: nad czem rozmyśla ten człowiek — tak wyraźnie wszystkie ruchy jego napiętnowane były głęboką zadumą. Zaduma ta była w jego ciężkim chodzie, w powolnych jękających się rozmowach, kiedy między dwoma wypowiedzianymi wyrazami stały się czarne przepaście ukrytej, dalekiej myśli; jak ciężka płachta wisała ta zaduma nad jego oczyma i mgliste było spojrzenie, mętnie błyszczące z pod zwiśniętych brwi. Czasami trzeba było dwa razy wołać, zanim usłyszał i odezwał się; to, znów

zapominał komuś się uklonić i mówiono, że zhardtiał. Raz zapomniał się uklonić Iwanowi Porfirjewiczowi; ten z początku zdziwił się, potem szybko dopędził powolnie idącego popa.

— Zhardtiałeś — ojcze, nie chcesz się kłaniać — drwiąco powiedział.

O. Bazyli nieprzytomnie spojrział na niego, zlekka zarumienił się i powiedział:

— Przepraszam — Iwan Porfirjewicz — nie spostrzegłem was.

Starosta chciał surowo, z góry na dół spojrzeć na popa i wtedy po raz pierwszy zauważył, że pop jest wyższy od niego, chociaż jego — starostę — uważano za najwyższego człowieka w całej okolicy.

I to odkrycie zrobiło mu przyjemność i nie zdając sobie sprawy — starosta zaprosił popa:

— Niech ojciec wstąpi kiedy do mnie.

I długo się oglądał i mierzył oczyma popa. I O. Bazylemu zrobiło się przyjemnie, ale tylko na chwilę; już o dwa kroki dalej, ta wieczna zaduma — ciężka i nieruchoma — jak kamień młyński — zdusiła wspomnienie o dobrych słowach starosty i spłoszyła cichy, nieśmiały uśmiech, co miał mu osiąść na wargach. I znów rozmyślał — rozmyślał o Bogu, i o ludziach i o tajemniczych losach ludzkiego życia.

I stało się to w czasie spowiedzi: skuty swoją nieruchomą zadumą, O. Bazyli obojętnie zadawał

zwykle pytania jakiejś staruszce, gdy wtem uderzyła go dziwna rzecz, której dawniej nie zauważył: oto stoi i rozpytuje o najbardziej tajemne myśli i uczucia, a jakiś człowiek lękliwie spogląda na niego i opowiada prawdę, tę prawdę, której nikt inny usłyszeć nie może. I pomarszczona twarz staruszki odrazu stała się jakaś inna, wyjaśniona, jakby wokoło była noc, a tylko na nią jedną padało światło dzienne. I nieoczekiwanie, przerywając jej w półsłowa — zapytał:

— A ty prawdę mówisz?

Ale co odpowiedziała — nie słyszał. Spadła mgła z jego twarzy i błyszczącemi, jakby umytemi oczyma ze zdziwieniem spoglądał na twarz kobiety i twarz ta była dziwna — miała na sobie jakies znamię jasnej zagadkowej prawdy o Bogu i życiu. Na głowie jej, pod perkalową chusteczką O. Bazyli zobaczył rozdział — szary pasek skóry — śród starannie zaczesanych włosów. I ten biedny rozdział, ta niepojęta dbałość o starą, nieładną, nikomu niepotrzebną głowę — była też prawdą: smutną prawdą o wiecznie samotnem, wiecznie nieszczęsnem życiu ludzkim. I tu po raz pierwszy w czterdziestym roku swego życia, O. Bazyli Fiwejski zrozumiał oczyma i słuchem i wszystkimi zmysłami swymi, że poza nim na ziemi są inni ludzie, podobni do niego, i że oni mają swoje życie, swoje nieszczęście, swój los.

— A masz ty dzieci — szybko spytał, przerywając staruszce.

— Pomarły — ojciec.

— Wszystkie umarły? — zdziwił się pop.

— Wszystkie umarły — powtórzyła kobieta i oczy jej poczerwieniały.

— Jakże ty żyjesz? — ze zdumieniem spytał O. Bazyli.

— Takie to i nasze życie — zapłakała staruszka — jałmużnę dadzą — z tego żyję.

Wyciągnąwszy szyję naprzód, O. Bazyli z wysokości swego olbrzymiego wzrostu wpił się oczyma w staruszkę i milczał.

I długa koścista twarz jego, okolona zwisającymi włosami, wydała się staruszce niezwykle i straszną i ręce jej, skrzyżowane na piersi — ochłodziły.

— No, idź już — zadzwieczał nad nią surowy głos popa.

Dziwne dni popłynęły teraz dla O. Bazylego i coś niezwykłego powstawało w jego umyśle. Dotychczas było tak: istniał tylko mały kawałek ziemi, na którym żył sam jeden — ogromny O. Bazyli ze swem ogromnem nieszczęściem i wątpliwościami, a inni ludzie nie istnieli wcale. Teraz zaś ziemia urosła, stała się nieodgadnioną i całą zaludniła się ludźmi, podobnymi do O. Bazylego.

Ludzi tych było mnóstwo i każdy z nich ma swoje życie, swoje nieszczęścia, swoje nadzieje i wątpliwości i uczył się O. Bazyli wśród nich, jak drzewo samotne w polu, wokoło którego raptownie wyrósł gęsty las bez końca.

Nie czuł już samotności, ale wraz z tem zniknęło i słońce i puste jasne oddale, i jeszcze gęstszy stał się nocny mrok.

Wszyscy ludzie mówili mu prawdę. Gdy nie słuchał tych słów prawdy, to widział ich domy, twarze i na domach i twarzach była wryta nieubłagana prawda życia. Czuł tę prawdę, ale nie umiał jej nazwać i gorączkowo wypatrywał nowe twarze, przysłuchiwał się nowym rozmowom. W czasie postu przed Bożem Narodzeniem spowiadało się niewiele osób, ale pop każdego trzymał przy spowiedzi przez całe godziny i dopytywał męcząco, uparcie, wkradając się do najbardziej ukrytych zakątków duszy, dokąd sam człowiek zagląda rzadko i ze strachem. Nie wiedział, czego szukał i bezlitośnie wywracał wszystko istniejące i wszystko, czem żyje dusza. W pytaniach swych nie znał miłosierdzia, i nie znała ani wstydu, ani strachu — myśl, która się w nim zrodziła. I prędko zrozumiał O. Bazyli, że ci ludzie, którzy mówią mu tylko prawdę, jak samemu Bogu, sami nie rozumieją tej prawdy swego życia. Za tysiącem malutkich wrogich sobie prawd — wyglądały mgliste zarysy jednej wielkiej prawdy, która roz-

wiązywała wszystko. Wszyscy odczuwali tę prawdę i wszyscy jej oczekiwali, ale nikt nie umiał jej bliżej określić — tej wielkiej prawdy o Bogu i o ludziach, i o zagadkowych losach ludzkiego życia.

Tę prawdę zaczął odczuwać O. Bazyli i odczuwał ją to jako rozpacz i obłądny strach, to znów jako litość, gniew i nadzieję. I był taki, jak dawniej — surowy i zimny na oko, kiedy rozum jego i serce pławiły się już w ogniu prawdy niepoznawalnej i nowe życie miało się zbudzić w starém jego ciele.

We wtorek, w ostatnim tygodniu przed Świętami, O. Bazyli późno powrócił z cerkwi; w ciemnej, zimnej sieni czyjaś ręka zatrzymała go i schrypnięty głos wyszeptał:

— Bazyli — nie idź tam.

Po głosie — w którym brzmiał strach — poznał, że to popadya i zatrzymał się.

— Od godziny już czekam na ciebie. Ziębłam! — dzwoniła zębami od gwałtownego dreszczu.

— Co się stało? Chodźmy.

— Nie! Nie! Słuchaj! Naścia... weszłam do pokoju, a ona stoi przed lustrem i wykrzywia twarz, tak jak i on i ręce tak samo kurczy...

— Chodźmy.

Przemocą wprowadził ją do pokoju, chociaż mu stawiała opór i tam dopiero, oglądając się, dy-

gocąc z zimna i ze strachu, opowiedziała mu wszystko. Szła do pokoju, żeby podlać kwiaty i zobaczyła: Naścia stoi cichutko przed lustrem i w lustrze odbija się jej twarz — ale nie taka, jak zwykle — dziwnie bezmyślna, z dziwacznymi wykrzywionymi ustami i skoszonymi oczyma. Potem równie cicho podniosła ręce i zgiąwszy naprężone palce, jak to robił idyota, nachyliła się do swego odbicia i wokoło było tak cicho i to wszystko było takie straszne, takie niepodobne do prawdy, że popadya krzyknęła i upuściła konewkę. A Naścia uciekła. I teraz popadya nie jest pewna, czy to wszystko rzeczywiście było, czy też jej się tylko wydało.

— Zawołaj Naścję i wyjdź sama — powiedział pop.

Przyszła Naścia i przystanęła na progu. Twarz miała długą, kościstą, jak ojciec i stała tak, jak on zwykle stał w czasie rozmowy, szyję wyciągnęła trochę na bok i patrzyła ponuro, z podełba. I ręce trzymała z tyłu, tak jak on.

— Naścia — czemu ty to robisz — surowo, ale spokojnie zapytał O. Bazyli.

— Matka widziała cię przed lustrem. Czemu to robisz. On jest chory.

— Nie, on nie jest chory. Szarpie mię za włosy.

— Czemu ty robisz to, co on. Czy ci się podoba taka twarz, jak jego.

Naścia ponuro spojrzała w dal.

— Nie wiem — odpowiedziała. I z dziwną otwartością spojrzała ojcu w oczy i śmiało dodała: — podoba mi się.

O. Bazyli wpatrywał się w nią i milczał.

— A ojcu się nie podoba taka twarz? — na wpół-twierdząco zapytała.

— Nie.

— A dlaczegoż ojciec myśli o nim? Jabym go zabiła.

Ojcu Bazylemu wydało się, że i teraz Naścia wykrzywia twarz tak, jak to robi idyota: coś tępego i zwierzęcego przemknęło w kościach policzkowych i zsunęło jej oczy.

— Idź! — ostro powiedział.

Ale Naścia nie ruszyła się z miejsca i z tą samą dziwną otwartością patrzyła ojcu prosto w oczy. I twarz jej nie była już teraz podobna do wstrętnej maski idyoty.

— A o mnie ojciec nie myśli — powiedziała prosto, jak się mówi o jakiejś obojętnej prawdzie. I wtedy we wzrastającej mgle zimowego zmrzchu przyszło pomiędzy nimi, podobnymi do siebie i odmiennymi — do dziwnej i krótkiej rozmowy.

— Ty jesteś moją córką? Dlaczegoż o tem dotąd nie myślałem. Czy ty wiesz?

— Nie.

— Chodź i pocałuj mię.

— Nie chcę.

— Nie kochasz mnie?

— Nie. Nie kocham nikogo.

— Tak samo, jak ja! — i nozdrza popa rozdeły się od hamowanego śmiechu.

— I ojciec też nie kocha nikogo? A mamę? Ona strasznie pije. Ją również zabiłabym.

— A mnie — zabiłabyś?

— Ojca — nie. Ojciec ze mną rozmawia. Czasami żal mi ojca. Przecie — to bardzo ciężko — mieć syna — idyotę. On jest strasznie zły. Ojciec nawet nie wie, jaki — zły. Je żywe karakony! Złapałam mu dziesięć karakonów — zjadł wszystkie.

Nie odchodząc ode drzwi, ostrożnie przysiadła na brzeżku krzesła, jak służąca, złożyła ręce na kolanach i czekała.

— Nudno — Naścia! — w zadumie powiedział pop.

Poważnie — i bez pośpiechu — przystała na to:

— Pewnie, że nudno.

— A czy ty się modlisz?

— A jakże — modłę się. Ale tylko wieczorami, bo zrana nie mam czasu, roboty dużo. Trzeba pozamiatać, zaściła łóżka, pomyć naczynia. Waśce trzeba przygotować herbatę, podać — sam ojciec wie, ile jest roboty.

— Tak, jak służąca — nieokreślenie jakoś powiedział O. Bazyli.

— Co ojciec mówi? — spytała — nie rozumiejąc.

O. Bazyli milczał, nisko zwiesiwszy głowę i był ogromny i czarny na tle niewyraźnie bielejącego okna i zdawało się Naści, że słowa jego są tak czarne i tak błyszczące, jak paciorki. Długo czekała, ale ojciec milczał, więc nieśmiało zawołała:

— Papo!

Nie podnosząc głowy, O. Bazyli rozkazująco kiwnął ręką w jej stronę, raz, a potem drugi raz. Naścia westchnęła i wstała, ale zaledwie zwróciła się ku drzwiom, coś zaszumiło za nią, dwie silne, kościste ręce uniosły ją w powietrzu i śmieszny głos wyszeptał nad jej uchem:

— Obejmij mię za szyję. Odniosę cię.

— Co ojciec robi? przecie już jestem duża.

— To nic nie szkodzi. Trzymaj się.

Trudno było oddychać, gdyż ręce ojca ścisnęły ją, jak żelazne obręcze i trzeba było schylić się we drzwiach, żeby się nie uderzyć głową i Naścia nie wiedziała nawet, czy jest jej dobrze, czy tylko dziwnie. Nie wiedziała również, czy to się jej wydało, czy rzeczywiście ojciec wyszeptał:

— Lituj się nad matką!

Po modlitwie — kładąc się do snu, Naścia długo siedziała na łóżku i rozmyślała. Chudziutkie jej plecy z ostremi łopatkami i wyraźnie wystającymi kostkami grzbietu — były bardzo zgarbione; brudna koszula opadała z ostrego ramienia; objąwszy rękoma kolana i kołysząc się, podobna

do gniewnego, czarnego ptaka, którego w polu złapał mróz — patrzyła bez mrugnienia przed siebie dziwnymi, zagadkowemi oczyma zwierza. I w zamysleniu — z uporem — wyszeptwała:

— A jednak — jabym go zabiła!

Późno w nocy, kiedy wszyscy spali, O. Bazyli cicho wszedł do pokoju i twarz jego była surowa i zimna. Nie spojrzawszy na Naścię, postawił lampę na podłodze i pochylił się nad cicho śpiącym idyotą. Ten leżał nawznak, z wypiętą naprzód potworną pierśią, z rozrzuconemi rękoma i malutka, zwięziona jego głowa opadała w tył, bielejąc małym ściętym podbródkiem. We śnie, przy bładem odbiciu światła, spadającym z sufitu, z zamkniętymi powiekami, które ukrywały bezmyślność jego oczu, twarz ta nie wywierała tak strasznego wrażenia, jak w dzień. I widać było na tej twarzy zmęczenie, jak u aktora — zmęczonego trudną grą, i wokoło wielkich, zamkniętych ust był cień surowego smutku.

Zdawało się, że były w nim dwie dusze — i gdy jedna spała — budziła się inna — rozumiejąca wszystko i nieszczęsna.

Ojciec Bazyli wolno wyprostował się i z taką samą twarzą — surową i obojętną — nie spojrzawszy na Naścię — poszedł do swego pokoju. Szedł powolnie i spokojnie, ciężkim i martwym krokiem głębokiej zadumy i ciemności rozsuwały się przed nim, długimi cieniami, biegnąc z tyłu —

następując mu na pięty. Twarz jego jasno bieleła przy świetle lampy i oczy uważnie patrzyły przed siebie — daleko przed siebie — w głębię przestrzeni bez dna — gdy tymczasem nogi jego stały wolno i ciężko.

Noc była późna i dawno już przebrzmiały głosy kogutów.

VI.

Nastał Wielki Post. Bezbarwnie zabrzmiał głuchy dzwon i szare, smutne zeicha wołające dźwięki nie mogły przerwać zimowej ciszy, co leżała jeszcze na zaśnieżonych polach. Dźwięki te — wpływające z dzwonicy nieśmiało drgały w gęstem, mglistem powietrzu — opadały w dół i konały — i długo nikt z ludzi nie zjawiał się na ciche, ale coraz upartsze, coraz bardziej wzywające wołanie malutkiej cerkwi.

W końcu pierwszego tygodnia przyszły dwie staruszki, szare, zamglone, głuche — jak to powietrze zamierającej zimy — długo coś gadały i powtarzały swemi ustami bez zębów — powtarzały bez końca — głuche przerywane skargi nie mające początku i nigdy nie kończące się.

Zdawało się, że i łzy i słowa zestarzały się na długiej służbie i teraz pragną wypoczynku.

Już odpuszczone były ich grzechy, ale one nie rozumiały tego i ciągle o coś prosiły, głuche i zamglone — jak strzępy ciężkiego snu.

Za niemi popłynęli inni ludzie i dużo młodych, gorących łez, dużo młodych słów, zaostzonych i błyszczących werznęło się w duszy ojca Bazylego.

Kiedy włościanin, Semen Mosiagin, po trzykroć uderzył głową o ziemię — i ostrożnie stąpając, posunął się w stronę popa — pop przypatrywał mu się uważnie i ostro i stał w pozie nieodpowiedniej do cerkwi: wyciągnął szyję naprzód, złożył ręce na piersiach i palcami jednej ręki skubał brodę. Mosiagin zbliżył się do popa i zdumiał się: pop patrzył na niego i zeicha śmiał się, rozdymując nozdrza, jak koń.

— A ja oddawna czekam na ciebie — wymówił — uśmiechając się — pociós przyszedł — Mosiagin?

— Spowiadać się — szybko i chętnie odpowiedział Mosiagin i w przyjacielskim uśmiechu ukazał białe zęby, takie równe, jak gdyby je kto obciął według jednej miary.

— Cóż — lżej ci będzie, gdy się wypowiadasz? — mówił pop dalej i uśmiechał się wesoło, przyjacielsko — tak się przynajmniej wydawało Mosiaginowi. Uśmiechając się tak samo — odpowiedział mu:

— Pewnie, że lżej.

— A czy to prawda, że sprzedałeś konia i ostatnią owcę i zastawiłeś wóz.

Mosiagin poważnie i z niezadowoleniem spoj-

rzał na popa: twarz popa była obojętna i oczy spuszczone. Obaj milczeli.

O. Bazyli wolno zwrócił się ku oltarzowi i rozkazał:

— No — mów swoje grzechy.

Mosiagin chrząknął, nadał swej twarzy urzędowy wyraz, głową i piersią przysunął się do popa i głośnym szeptem zaczął mówić. I w miarę tego, jak mówił, twarz popa stawała się coraz surowsza, coraz bardziej nieprzystępna, zdawało się, że ta twarz kamienieje pod gradem boleśnie smagających, nudnych słów chlopa.

Oddychał głęboko i szybko, jak gdyby brakło mu oddechu we wszystkim tem bezmyślnem, tępem i dzikim, co się zwało życiem Semena Mosiagina i co owijało go, jak czarne kręgi niewidzialnego węża. Zdawało się, że surowe prawo przyczynowości nie miało władzy nad tem prostem i fantastycznym życiem: tak nieoczekiwanie, tak błazeńsko-bezmyślnie łączyły się w tem życiu mały grzech i wielkie cierpienie, silna żywiołowa wola z taką samą żywiołową potężną twórczością... i potworne, marne bytowanie gdzieś na granicy życia i śmierci. O jasnym i zlekka drwiącym umyśle silny — jak zwierz leśny, tak i wytrzymały, że zdawało się, iż w piersiach jego bije odrazu aż trzy serca i kiedy jedno z tych serc konało od cierpień nie do zniesienia — dwa inne dawały życie nowemu sercu — zdawało się, że mógł prze-

wrócić całą ziemię, na której niezgrabnie, lecz mocno stały jego nogi. A w rzeczywistości działał się tak: był zawsze głodny, z głodu marła jego żona i dzieci i bydło; i zmacony jego umysł błąkał się jak pijany, co nie może znaleźć drzwi swego domu. W rozpacznych zabiegach, żeby coś zbudować, coś stworzyć — upadał — wszystko się rozlatywało, wszystko się rozpadało, i zewsząd szło ku niemu dzikie wyśmiewanie się, znęcanie. Był litościwy i wziął na wychowanie sierotę i wszyscy go za to łajali; a sierota żył niedługo i umarł z wiecznego głodu i chorób i wtedy on sam zaczął się na siebie oburzać i już nie wiedział, czy należy być litościwym, czy nie. Zdawało się, że łzy nie powinny były schnąć w oczach tego człowieka — krzyki gniewu i oburzenia nie powinny były zamierać na jego ustach — a tymczasem był on zawsze wesół i żartobliwy i nawet brodę miał jakąś niezwykle wesołą, ognisto-rudą, w której wszystkie włoski kręciły się, zwiły w jakimś tańcu bez końca. Tańczył z młodemi dziewczętami i dziećmi, śpiewał żalosne pieśni wysokim i dźwięcznym głosem i gdy się go słuchało — zbierało się na płacz, a on drwiąco i cicho się uśmiechał.

Grzechy jego były małe — powierzchowne: geometra, którego wioził w lecie — w czasie postu przed Św. Piotrem i Pawłem — dał mu kawałek pieroga niepostnego, a on go zjadł; i tak długo

opowiadał o tem, jak gdyby nie pierog zjadł, a wypełnił morderstwo; to znów, w zeszłym roku, przed komunią wypalił papierosa — i o tem opowiadał długo i męcząco.

— Skończyłem! — wesoło, jakimś innym głosem przemówił Mosiagin i otarł pot z czoła.

Ojciec Bazyli wolno zwrócił ku niemu kościstą głowę.

— A któż ci pomagał?

— Kto mi pomaga? — powtórzył Mosiagin. — Nikt mi nie pomaga. Wszyscy źle żyjemy — sami ojciec o tem wiecie. Aha — Iwan Porfirjewicz pomógł — chłop porozumiewawczo mrugnął w stronę popa — dał mi trzy pudry mąki z tem, żebym w jesieni zwrócił mu cztery.

— A Bóg?

Semen westchnął i twarz mu posmutniała.

— Pan Bóg? Widocznie nie zasłużyłem.

Niepotrzebne zapytania popa znudziły Mosiagina, przez ramię — z ukosa spojrzął na pustą cerkiew, ostrożnie przeliczył włosy w rzadkiej brodzie popa, zauważył, że ma przegniłe, czarne zęby i pomyślał: — widocznie je dużo cukru. — I westchnął.

— Czegóż ty czekasz?

— Czego czekam? A czegóż mam czekać?

I znów zapanowało milczenie. W cerkwi ściemniło się i zrobiło się zimno i chłód przedostawał się za koszulę chłopca.

— Tak, więc tak będzie? — spytał pop i słowa jego dźwięczały głucho i daleko, jak grudki ziemi, spadające w mogiłę, na trumnę.

— Tak, więc tak będzie. Tak, więc tak będzie — powtórzył Mosiagin, wsłuchując się we własne słowa. I przypomniało mu się to, co było w jego życiu: głodne twarze dzieci, wyrzuty, praca, jak w katordze, i tępy ciężar pod sercem, tak, że się chce pić wódkę i bić się; i to wszystko będzie znów, będzie trwać długo, będzie trwać bez przerwy, aż nim śmierć nie przyjdzie. Szybko mrugając białymi rzęsami, Mosiagin podniósł na popa wilgotny, zamglony wzrok i spotkał jego ostre, błyszczące oczy i ujrzał w swych oczach coś blizkiego, pokrewnego i strasznie smutnego.

Nie zdając sobie z tego sprawy pochylił się jeden ku drugiemu. O. Bazyli położył rękę na ramieniu chłopca; lekko i delikatnie dotknęła go ta ręka, niby jesienna pajęczyna. Mosiagin z czułością poruszył ramieniem, z ufnością podniósł oczy i powiedział, żałośnie uśmiechając się, połową ust:

— A może będzie trochę łatwiej żyć?

Pop cicho zdjął rękę i milczał. Białe rzęsy zaczęły mrugać jeszcze szybciej, jeszcze weselej, zatańczyły włoski w ognisto-rudej brodzie, język zamiauczał coś niezrozumiale i bez sensu.

— Tak. Więc nie będzie łatwiej. Pewnie, że prawdę mówicie ojciec...

Ale pop nie dał mu skończyć. Hamując się —

tupnął nogą, spalił chłopą gniewnem, wrogiem spojrzeniem i zasyczał na niego, jak rozgniewany wąż.

— Nie płacz! Nie ośmielaj się płakać! Płaczą wszyscy, jak cieleta! Co na to pocznę? — pchnął się palcem w piersi. — Cóż na to pocznę? Cóż — Bogiem jestem — czy co? Boga prosź! No prosź! Przecie do ciebie mówię.

Popchnął chłopą.

— Ukleknij.

Mosiagin ukląkł.

— Módl się.

Z za pleców nasuwała się pusta, ciemna cerkiew; nad głową rozgniewany głos popa — krzyczał: — módl się! módl się! — i nie zdając sobie sprawy, Mosiagin szybko zaczął się żegnać i bić głową o ziemię. Rozumiejąc, że dzieje się coś niezwykłego, że w danej chwili podlega czyjejś silnej i zagadkowej woli — od szybkich, jednostajnych ruchów głowy, chłop zaczynał odczuwać jakiś strach i dlatego było mu jakoś dziwnie lekko.

Bowiem w samym tym strachu przed czemś potężnem i surowem była jednocześnie jakaś nadzieja, że znajdzie opiekę i zlitowanie.

I coraz namiętniej przyciskał czoło do zimnej podłogi, gdy pop krótko rozkazał:

— Dosyć!

Mosiagin wstał, przeżegnał się zwracając się ku najbliższym obrazom i wesoło, radośnie zatańczyły,

zawirowały ognisto-rude włoski, gdy się znów zbliżył do popa.

Teraz wiedział z pewnością, że mu będzie lżej i spokojnie oczekiwał dalszych rozkazów.

Ale ojciec Bazyli spojrzał tylko na niego z surową ciekawością i dał mu rozgrzeszenie.

Przy wyjściu Mosiagin odwrócił się: w tem samym miejscu, zlewając się z mrokiem — stała samotna postać popa; słabe światło woskowej świecy nie mogło go oświecić i postać ta była wielka i czarna, i zdawało się, że nie miała określonych granic i zarysów i była tylko cząsteczką tego mroku, co zalewał cerkiew.

Z każdym dniem coraz więcej ludzi przychodziło do spowiedzi i ciągle się zmieniały młode i pomarszczone twarze. Przy spowiedzi był zawsze równie surowy i wymagający i przez całe godziny wysłuchiwał nieśmiałych, często niezrozumiałych słów, których tłem było zawsze cierpienie, strach i wielkie oczekiwanie. Wszyscy burzyli się przeciwko życiu, ale nikt nie chciał umierać i wszyscy czekali na coś, czekali gorączkowo i namiętnie i oczekiwanie to było bez początku — zdawało się, że już pierwszy człowiek tak czekał. Oczekiwanie to przeszło przez wszystkie umysły i wszystkie serca, przez te, co dawno zeszyły z tego świata, i te — co żyły jeszcze — i dlatego stało się takie potężne, tak rozkazujące. I zgorzkniało, bo przesiąkło wszystkimi smutkami zawiedzionych

nadziei, całą goryczą zdeptanej wiary, całą płomienną tęsknotą bezbrzeżnego osamotnienia. To wielkie oczekiwanie żywiło się sokami serc wszystkich ludzi — żyjących i umarłych i teraz, jak drzewo potężne — zapanowało nad życiem. — I chwilami — gubiąc się wśród tych dusz — jak pielgrzym wśród lasu bez końca — zapominał o tem wszystkim, co sam wycierpiał i co uwieńczyło mu głowę surowym smutkiem i sam — zaczynał czekać na coś — czekać niecierpliwie — groźnie.

Teraz nie chciał patrzeć na łyzy ludzkie, ale one lały się niepowstrzymanie, wbrew jego woli. I każda łyza była żądaniem i wszystkie te łyzy, jak zatrute igły — wpijały się w jego serce. I z niewyraźnym przeczuciem zbliżającego się przestraschu, zaczął pojmować, że on nie jest panem ludzi, ani ich sąsiadem, a sługą i niewolnikiem i błyszczące oczy tych ludzi — wiecznie oczekujących, szukają go, rozkazują mu, przywołują go. Coraz częściej, z powstrzymywaniem gniewem mówił: — Jego prosił! Jego prosi! — I odwracał się.

A w nocy — ci żywi ludzie — jako widma i cienie szły całymi masami za nim, rozmyślały wraz z nim i dzięki im — ściany jego domu stały się przezroczyście — a wszystkie kłódki i ogrodzenia — śmieszne. I męczące, dzikie oczy ognistą wstęgą zwijały się pod jego czaszką.

W piątym tygodniu postu, kiedy wiosna zapachniała z pól — a zmierzchy wieczorne stały się sinawe — przezroczyście, popadya znów zaczęła pić. Przez cztery dni z rzędu piła, krzyczała ze strachu i miotła się, a piątego dnia, w sobotę wieczorem zgasła w swoim pokoju lampkę przed obrazem, z ręcznika zrobiła pętlę i powiesiła się. Ale jak tylko zaczęła się dusić, przestraszyła się, zaczęła krzyczeć, a ponieważ drzwi były otwarte, natychmiast nadbiegł O. Bazyli i Naścicia i uratowali ją. Wszystko skończyło się na strachu tylko i nawet nic nie mogło się jej stać, gdyż ręcznik związany był nieumiejętnie i nie można było udusić się w taki sposób. Najbardziej przeraziła się sama popadya i płakała, przepraszała; głowa, ręce i nogi trzęsły się jej ze strachu, przez cały wieczór nie pozwoliła mężowi odejść od siebie i starała się siedzieć jak najbliżej niego. Na jej prośby zapalono znów zgaszoną lampkę w jej pokoju — a potem zapalono lampki przed wszystkimi obrazami i było tak jasno w pokoju, jak w wigilię wielkiego, uroczystego święta. Gdy minęła pierwsza chwila przerażenia, O. Bazyli był znów spokojny, zimny i łagodny, żartował nawet; opowiadał coś śmiesznego ze swego życia w seminaryum, potem z dalekiego dzieciństwa, gdy wraz z chłopcami kradł jabłka. I tak trudno było wyobrazić sobie, że jakiś stróż prowadził go za ucho, że Naścicia nie uwierzyła nie zaśmiała się, chociaż O. Bazyli śmiał się sam

cichym, dziecinnym śmiechem i twarz jego przybrała wyraz dobroci i szczerości. Pomału popadya uspokoiła się, przestała z ukosa spoglądać na ciemne kąty i kiedy Naścię odesłano spać — nieśmiało i cicho uśmiechając się — zapytała męża:

— Przestraszyłeś się?

Twarz O. Bazylego przybrała wyraz zły i nieszczerzy i uśmiechając się tylko ustami — odrzekł:

— Pewnie, że się przestraszyłem. Co ci to przyszło do głowy?

Popadya wzdrygnęła się, jak od podmuchu gwałtownego wiatru i niezdecydowana — przemówiła, przebierając drżącymi palcami w frendzli ciepłej chustki.

— Nie wiem — Wasia. Tak — nuda — tęsknota. I boję się wszystkiego. Ciągłe mi straszno. Coś się dzieje, a ja nie rozumiem, co to jest? Oto wiosna się zbliża — a potem będzie lato. Potem znów jesień, zima. I znów będziemy siedzieli tak, jak teraz, ty w tamtym kącie, a ja w tym oto. Nie gniewaj się — Wasia — przecie sama rozumiem, że inaczej być nie może. A zawsze...

Westchnęła i mówiła dalej, nie podnosząc oczu z nad chustki:

— Przynajmniej dawniej, chociaż śmierci się nie obawiałam, myślałam — będzie mi bardzo źle — no to umrę. — A teraz i śmierci się obawiam, cóż mam począć z sobą, Wasia — miły mój? Znowu... pić?

Pytająco wzniosła ku O. Bazylemu smutne oczy i były w tych oczach śmiertelna tęsknota i rozpacz bez granic i głuche, pokorne błaganie o litość. W mieście, gdzie się uczył, Fiwejski widział raz, jak zatłuszczony Tatar prowadził do szlachtuza konia ze złamanem kopytem, które wisiało na skórze i koń stąpał po kamieniach okrwawioną nogą — bez kopyta; było zimno i biała para — jak obłok — okrywała konia, mokra, spocona sierść błyszcząca, a oczy nieruchomie patrzyły przed siebie — i aż straszno było od łagodności — z jaką patrzyły. Takie same oczy miała popadya. I przyszło mu na myśl, że gdyby kto wykopał mogiłę i wrzucił tam tę kobietę i żywcem ją zasypał — to postąpiłby dobrze.

Popadya napróżno usiłowała rozpaść drżącymi wargami papierosa, którego zgasł dawno i mówiła dalej:

— I znów on. Rozumiesz o kim mówię. Pewnie — dziecko to jeszcze — i żal go, ale prędko zacznie chodzić — i zagryzie mnie. I znikąd niema ratunku. Ot — poskarżyłam się tobie — i cóż z tego. I co począć — nie wiem.

Westchnęła i rozłożyła ręce. I wraz z nią westchnął niski, zduszony pokój i tęsknie zaczęły się rzucać nocne cienie, co otaczały ojca Bazylego zbitą przyciszoną masą. Cienie te łąły obłądnie i wyciągały bezsilne ręce i błagały o litość, o zmiłowanie, o prawdę.

— A-a-a — wyrwał się przeciągły jęk z kościstej piersi popa. Zerwał się, nerwowym ruchem przewrócił krzesło i szybko zaczął chodzić po pokoju, potrząsając złożonemi rękoma, szepcząc coś, zaczepiając o krzesła i ściany, jak ślepy lub nieprzytomny. Dochodząc do ściany, pobieżnie macał ją kościstymi palcami i odbiegał znów; i tak kręcił się po wąskiej klatce, wśród niemych ścian, jak fantastyczny cień — straszny i niezwykły. I dziwny kontrast — z obłądną ruchliwością ciała stanowiły jego oczy, nieruchome, jak u ślepego, i w oczach tych były łzy — pierwsze łzy od śmierci Wasi.

Zapomniawszy o sobie, popadya z przerażeniem wpatrywała się w męża i zawołała:

— Waśia — co ci jest? Co ci jest?

Ojciec Bazyli ostro odwrócił się, szybko zbliżył się do żony, jakby ją chciał rozduśić i położył jej na głowie ciężką, drżącą rękę. I długo w milczeniu trzymał tę rękę, jakby błogosławiąc ją i broniąc od wszelkiego zła. I mówił, a każdy głośny dźwięk jego słowa — był jak dzwieczna, metalowa iza:

— Biedna, biedna.

I znów zaczął szybko chodzić, wielki i straszny w swej rozpacz, jak zwierzę, któremu odbierają jego małe. Umęczona twarz jego kurczyła się i drżące wargi mówiły jakies przerywane, bezbrzeżnie żalodne słowa:

— Biedna. Biedna. Wszyscy biedni. Wszyscy płaczą. I niema ratunku! O-o-o...

Zatrzymał się i podniósłszy ku górze zneruchomiałe spojrzenie, przesywając niem sufit i mgłę wiosennej nocy — zawołał przeraźliwym, rozpaczonym głosem:

— I ty to znosisz! Ty znosisz! Więc masz-że za to... I wysoko podniósł zacisniętą pięść, ale u nóg jego, obejmując go za kolana w ataku histeryi miotła się popadya, niewyraźnie coś mówiła, dusząc się od łez i śmiechu:

— Nie trzeba! Nie trzeba! Gołąbku — miły mój. — Nie będę już więcej!...

Idyota obudził się i zaryczał, przybiegła przerażona Naścia — i szczęki popa zacisnęły się, jak żelazne. W milczeniu i na pozór zimno uspokajał żonę, położył ją do łóżka, i kiedy już zasnęła — trzymając jej rękę w swojej ręce — przesiedział koło jej łóżka aż do rana.

I całą noc — aż do rana — paliły się przed obrazami świętych — lampki i zdawało się, że to jest wigilia wielkiego — uroczystego święta.

Nazajutrz ojciec Bazyli był taki, jak zawsze — zimny, spokojny i ani jednym słowem nie napomknął o tem, co się stało wczoraj. Ale w głosie jego, gdy rozmawiał z popadyą, w jego spojrzeniu, zwróconem na nią, była jakaś łagodna czułość, którą ona jedna tylko mogła odczuć swem umęczonem sercem.

I tak wielka była ta męska, milcząca czułość, że nieśmiało uśmiechnęło się umęczone serce i przechowało w swej głębi ten uśmiech. Mało mówili ze sobą, i proste, zwykłe były te skąpe rozmowy; rzadko przebywali razem, rozdzieleni życiem, ale serca ich, pełne boleści — nieustannie szukały się nawzajem i nikt z pośród ludzi — nawet twardy los — nikt nie mógł się domyślić, jak beznadziejnie tęskną, jak czułą była ich miłość.

Już oddawna — od przyjścia na świat idyoty — przestali być mężem i żoną — i robili wrażenie czułych i nieszczęsnych zakochanych, którzy nie mają żadnej nadziei i nawet w marzeniach nie śnią pragnąć tego szczęścia. I odżyła w popady jej utracona wstydlivość i pragnienie, aby być piękną; rumieniła się, gdy mąż widział jej obnażone ręce i robiła coś takiego ze swą twarzą i włosami, że stały się młode — odświeżone i w poważnym swym smutku — dziwnie przepiękne. A gdy przychodził ten straszny czas, gdy się upijała, znikwała w mroku swego pokoju — jak się chowają psy, gdy czują początki wścieklizny — i samotnie w milczeniu znosiła walkę z obłędem i zrodzonymi przez obłęd — widmami.

I co noc, gdy wszystko było pogrążone we śnie, popadya bez szelestu wkradała się do łóżka męża i żegnała jego głowę, odpędzając tęsknotę

i złe myśli. Pragnęłaby ucałować jego rękę, ale nie ośmielała się — i cicho szła z powrotem, niewyraźnie biejąc w mroku, jak te mgliste i smutne postacie, co nocą wstają z nad bagnisk i mogli umarłych i zapomnianych ludzi.

VII.

Ciągle tak samo jednostajnie i ponuro dzwonił wielkopostny dzwon i zdawało się, że każdym swem głuchem uderzeniem zdobywał nową władzę nad sumieniem ludzkim: coraz więcej zbierało się ludzi i zewsząd ciągnęły ku cerkwi bezbarwne — jak dźwięki dzwonu — milczące postacie. Jeszcze noc panowała nad obnażonymi polami, jeszcze zamarznęte strumienie nie zaczęły szemrać — gdy na wszystkich ścieżkach, na wszystkich drogach zjawiali się ludzie, samotni — i jak gdyby skuci — i poważnym, smutnym sznurem posuwali się ku jednemu, niewidzialnemu celowi. I dzień w dzień, od wczesnego ranka do późnego wieczoru stały przed ojcem Bazylim ludzkie twarze, to jasno — ze wszystkimi zmarszczkami oświetlone żółtym płomieniem świec, to niewyraźnie występujące z tła ciemnych kątów — jak gdyby nawet powietrze cerkwi przybierało na się postać ludzi, łaknących złotowania i prawdy. Ludzie cisnęli się niezręcznie

i popychając się i tupiąc nogami — niezgrabnie kłękali, wzdychali i z nieubłagany uporem zanosili przed popa swoje grzechy i nieszczęścia. Każdy miał tyle cierpień i nieszczęść, że wystarczyłoby tego na dziesięć żyć ludzkich i popowi — ogłuszonemu i zmęczonemu zdawało się, że cały żyjący świat przyszedł do niego ze swemi łzami i męką i czeka od niego pomocy, czeka spokojnie — czeka rozkazująco. Kiedyś szukał prawdy, a teraz zachłystywał się tą bezlitosną prawdą cierpienia i z męczącym poczuciem bezsilności — chciał uciekać na koniec świata — umrzeć, żeby nie widzieć, nie słyszeć, nie wiedzieć. Chciał, żeby nieszczęście ludzkie przyszło do niego — i nieszczęście przyszło.

Jak stos ofiarny płonąła w nim dusza i każdego, kto zbliżał się do niego, chciał objąć braterskim uściskiem i powiedzieć: »biedny przyjacielu, będziemy razem walczyć i płakać i szukać. Bowiem znikąd nie zejdzie pomoc dla człowieka«.

Ale nie tego żądali umęczeni życiem ludzie, więc z tęsknotą, z gniewem, z rozpaczą — powtarzał:

— Proś Jego! proś Jego!

Wierzyli mu ze smutkiem i odchodzili, a na ich miejsca sunęły nowe szare masy i znów jak nieprzytomny — powtarzał straszne i bezlitosne słowa:

— Jego proś! Jego proś!

I te kilka godzin, w ciągu których wysłuchiwał tej prawdy wydawały się mu latami i to, co działo się zrana przed spowiedzią, stawało się — blade i mętne, jak obrazy dalekiej przeszłości, kiedy ostatni wychodził z cerkwi, ciemności już panowały i łagodnie jaśniały gwiazdy, a powietrze wiosennej nocy — milczące było i pieszczotliwe. Ale on nie wierzył w spokój gwiazd: zdawało mu się, że i stamtąd, z tych dalekich światów — dolatują jęki i krzyki i głuche błaganie o ratunek. I tak wstydził się, jak gdyby on to popełnił wszystkie przestępstwa, jakie tylko były na świecie, on — stał się przyczyną wszystkich łez, on skatował i porwał na strzępy serca ludzkie. Wstyd mu było przytłoczonych chat, koło których przechodził, wstyd było wchodzić do swego domu, gdzie tak wszechwładnie i tak zuchwale — siłą zła i obłędu panował straszny obraz pół-dziecka, pół-zwierza.

I rankami szedł do cerkwi tak, jak idą ludzie na hańbiącą straszną kaźń, gdzie katami są wszyscy: spokojne niebo i przerażony, bezmyślnie śmiejący się tłum i własne bezlitosne myśli. Każden cierpiący człowiek był katem dla niego, bezsilnego sługi — wszechmocnego Boga, i katów było tylu — ilu ludzi — i tyle batów, ile ufnych, łaknących spojrzeń. Wszyscy byli nieubłagani, poważni i nikt nie śmiał się z popa, ale każdej chwili ze drżeniem oczekiwał wybuchu jakiegoś strasznego, szatańskiego śmiechu i obawiał się obrócić plecami do

ludzi. Wszystko, co złe i dzikie, rodzi się za plecami człowieka i dopóki człowiek patrzy, nikt nie śmie napaść na niego. I on patrzy, męcząc wszystkich swym wzrokiem i często spogląda w tę stronę, gdzie za kantorkiem stoi Iwan Porfirjewicz Koprow.

On jeden tylko rozmawiał w cerkwi głośno, spokojnie sprzedawał świece i dwa razy posyłał stróża i chłopców — zbierać pieniądze. Potem głośno liczył miedziaki, składając je w kupki i często zgrzytał kluczem; kiedy wszyscy rzucali się na kolana, on schylał tylko głowę i żegnał się; i widać było, że uważa się za człowieka blizkiego i potrzebnego Bogu, że bez niego Pan Bóg nie mógłby urządzić wszystkiego tak dobrze, tak porządnie. Dawno, od samego początku postu gniewał się na O. Bazylego za to, że ten tak długo spowiada: nie mógł pojąć, jakie ci ludzie mogą mieć wielkie i ciekawe grzechy, o których wartoby było tak długo rozmawiać. I uważał, że O. Bazyl nie umiał żyć i obchodzić się z ludźmi.

— Myślisz, że oni to ocenią? — mówił do dobrodusznego dyaka, zmęczonego, jak i cała służba kościelna — ciężką wielkopostną pracą. — Wcale nie — jeszcze się z niego śmiać będą.

Ale to, że O. Bazyl był surowy — podobało mu się, jak również i to, że był wysokiego wzrostu; uważał, że prawdziwy sługa kościoła powinien być podobny do wymagającego i ucziwego dozorczy,

który musi wymagać ścisłego i sprawiedliwego zdania rachunku. Sam Iwan Porfirjewicz zawsze odbywał rekolekcyje w ostatnim tygodniu i nadługo przedtem przygotowywał się do spowiedzi, usiłując przypomnieć sobie i zebrać wszystkie najdrobniejsze nawet grzechy.

I był dumny ze siebie, że grzechy jego były w takim samym porządku, jak jego interesa. We środe, w wielkim tygodniu, kiedy już siły zaczęły opuszczać O. Bazylego — wyjątkowo wielu ludzi miał do wyspowiadania. Ostatni był nędzny chłopiec — Trifon, kaleka, włóczący się o kulach po tej wsi i okolicznych. Zamiast nóg, które mu kiedyś dawno zmiażdżono przy pracy na fabryce i oderznęto po brzuch — miał króciutkie szczątki, obciążnięte skórą; pomiędzy podniesione od kul plecy wciśnięta była głęboko brudna, jak gdyby kołtunem okryta głowa z równie brudną, zmierzwioną brodą i zuchwałemi oczyma żebraka, pijaka i złodzieja. Był odrażający i brudny — jak zwierzę, przemykał się wśród błota i kurzu — jak gad i dusza jego była tak ciemna i zagadkowa, jak dusze zwierząt. Trudno było pojąć, jak może żyć taki człowiek — a jednak on żył, upijał się do utraty świadomości, bił się i miewał nawet kobiety, jakieś fantastyczne, w które trudno było uwierzyć — kobiety — które równie mało były podobne do ludzi, jak i on sam.

O. Bazyli musiał się nisko schylić, aby wystu-

chać spowiedzi tego kaleki i w strasznym odorze, jaki wydzielało jego ciało — otwarcie i spokojnie, w robactwie, które łąziło po jego szyi i głowie, tak, jak on sam łąził po ziemi — ukazała się przed popem cała przerażająca — niepojęta dla sumienia — haniebna nędza tej pokaleczonej duszy. I z groźną jasnością zrozumiał, jak przeraźliwie, jak bezpowrotnie pozbawiony jest ten człowiek wszystkiego, co ludzkie, do czego miał takie same prawo, jak królowie w swych pałacach, jak święci w swych celach. I zadrzał.

— Idź! Niech Pan Bóg odpuści twoje grzechy — powiedział pop.

— Proszę poczekać. Jeszcze powiem — zachrypiał nędzarcz, zadzierając ku górze zsiniałą twarz. I opowiedział, jak przed dziesięciu laty w lesie zgwałcił podlotka — dziewczynkę i dał płaczącej trzy kopiejki, a potem żał mu się zrobiło tych pieniędzy, więc udusił ją i zakopał. I tak nie znalaziono jej. Dziesięć razy, dziesięciu rozmaitym popom opowiadał tę historję i od powtarzania historyja ta zaczęła się mu wydawać pustą i zwykłą, nie mającą z nim związku — jak jakaś bajka. Czasem urozmaicał opowiadanie, zamiast lata — była jesień, a dziewczynka raz była blondynka, raz smagła — ale trzy kopiejki były zawsze niezmienne. Niektórzy nie wierzyli mu i śmiali się z niego — zapewniali, że przez dziesięć lat w okolicy nie zabito nikogo i nie zaginęła żadna dzie-

wczynka, łapano go na niezliczonych sprzecznościach i dobitnie wykazywano mu, że całą tę straszną historję wymyślił po pijanemu, leżąc w lesie.

To wprawiało go we wściekłość: krzyczał, zaklinał się, równie często powołując się na dyabła, jak na Boga — i zaczynał opowiadać takie wstrętne, takie brudne szczegóły, że najstarsi popi rumienili się i oburzali. I teraz czekał czy uwierzy znamienski pop — czy nie — i zadowolony był, gdy pop uwierzył: odsunął się od niego, zbladł i podniósł rękę, jakby do uderzenia.

— Czy to prawda? — głucho zapytał O. Bazyli.

Żebrak zaczął się szybko żegnać.

— Jak Boga kocham — prawda. Żebym się miał w tej chwili zapaść...

— Przecież za to — piekło! — zakrzyczał pop. — Rozumiesz — piekło!

— Pan Bóg miłosierny — ponuro zamruczał obrażony żebrak. Ale w złych i przestraszonych jego oczach widać było, że i sam oczekuje piekła i zżył się z tą myślą, jak ze swoją straszną historją o uduszonej dziewczynce.

— Na ziemi — piekło, w niebie — piekło. A gdzie twój raj? Gdybyś był robakiem — rozdusiłbym cię nogą — ale jesteś człowiekiem. Człowiek?... Czy robak? Któż ty jesteś, mów! — krzyczał pop i włosy mu się chwiały, jak od wiatru. — Gdzie twój Bóg? Dlaczego Cię porzucił?

— Uwierzył — z radością myślał żebrak — słowa popa były dla niego jakby gorącą wodą.

O. Bazyli przysiadł na nogach i w tem poniżeniu niezwyklej pozy czerpiąc dziwną i męczącą hardość — namiętnie szeptał:

— Słuchaj! Nie bój się. Piekła nie będzie. Ja ci to mówię napewno. Ja sam zabiłem człowieka. Dziewczynkę. Na imię jej Naścia. I piekła nie będzie. Ty będziesz w raju. Rozumiesz — ze świętymi, ze sprawiedliwymi. Wyżej od wszystkich. Wyżej od wszystkich — ja ci to mówię.

Tego wieczora ojciec Bazyli wrócił do domu późno, gdy już wszyscy skończyli kolację. Był bardzo zmęczony i błądliwy i aż po kolana przemo-kły i obłożony, jak gdyby długo włóczył się po bezdrożach i rozmokniętych polach. W domu przygotowywano się do Świąt i popadya była zajęta, ale przybiegając na chwilkę z kuchni — z trwogą spoglądała na męża. Starła się być wesółą i ukrywała niepokój. A w nocy, kiedy jak zwykle przyszła na palcach i po trzykroć przeżegnawszy jego głowę — chciała odejść — zatrzymał ją cichy i przestraszony głos — niepodobny do surowego głosu O. Bazylego:

— Naścia! Nie mogę iść do cerkwi.

W głosie był przestach i coś dziecinnego, bla-

galnego. Jak gdyby nieszczęście było tak wielkie, że nie można było, a musiał okrywać się hardością i ślizkimi, kłamliwymi słowami, poza które ludzie ukrywają swe uczucia. Popadya ukłękła przy łóżku męża i spojrzała mu w twarz; przy słabem, sinawem świetle twarz ta wydawała się jej blada i nieruchoma, jak twarz umarłego i tylko czarne oczy spoglądały z ukosa na nią: leżał na wznak, jak ciężko chory, albo dziecko, które się przelekleło straszego snu i nie śmie się poruszyć.

— Módl się — Wasia — wyszeptała popadya, gładząc zimne jego ręce, skrzyżowane na piersi, jak u nieboszczyka.

— Nie mogę. Straszno mi. Zapal światło, Naścia.

Zanim zapaliła lampę, O. Bazyl zaczął się ubierać, powolnie i niezręcznie, jak ciężko chory, który długo, nie wstawał z łóżka. Nie mógł sam zapiąć haftek od sutanny i poprosił żony:

— Zapnij.

— Gdzie się wybierasz? — zdziwiła się popadya.

— Nigdzie. Tak tylko.

I powolnie zaczął chodzić po pokoju, stąpając niepewnie słabo zginającymi się nogami.

Głowa trzęsała mu się nieznacznie, ale jednostajnym ruchem, dolna szczeka bezsilnie zwisała: z wysiłkiem podnosił ją, zwilżając językiem suche, spieczone wargi, ale za chwilę szczeka opadała znów i ukazywała czarny otwór ust.

Nasuwało się coś wielkiego i niepojęcie straszego, jak bezbrzeżna pustka, bezbrzeżne milczenie. I nie było ani ziemi, ani ludzi, ani świata za ścianami domu — tam była ta sama ziejąca otchłań bez dna i wieczne milczenie.

— Wasia! — Czyż to prawda? — spytała popadya, zamierając ze strachu.

Ojciec Bazyl spojrzał na nią mętnymi oczyma bez blasków i z chwilowym napływem siły machnął ręką:

— Nie trzeba. Nie trzeba. Milcz.

I znowu zaczął chodzić i znów opadła bezsilna szczeka. I tak chodził wolno, jak czas, a na łóżku siedziała biedna kobieta, sztywniejąca ze strachu — i wolno — jak czas posuwały się jej oczy, śledziły go. I nasuwało się coś ogromnego. Oto nadeszło to coś, stanęło i objęło ich spojrzeniem pustych oczu — co widzą wszystko — wielkie — jak pustka, straszne — jak wieczne milczenie.

Ojciec Bazyl zatrzymał się naprzeciwko żony i mętnie spoglądając na nią, powiedział:

— Ciemno. Jeszcze światła.

— On umiera — pomyślała popadya i drżącymi rękoma — upuszczając zapalki, zapaliła świecę. I znów poprosił:

— Jeszcze światła.

I ona zapalała, ciągle zapalała i wiele już płonęło lamp i świec. Jak mała błękitna gwiazdka gubiła się lampka w jaskrawym, śmiałym blasku

plomieni i zdawało się, że nastąpi już wielkie, uroczyste święto.

I powolny, jak czas, cicho posuwał się w jarzącej pustce. Teraz — kiedy pustka była oświetlona, ujrzała popadya i zrozumiała na jedno krótkie, ale straszne mgnienie — że on jest samotny — nie należy ani do niej, ani do nikogo, i ani ona, ani nikt tego zmienić nie może. Gdyby zeszedli się silni i dobrzy ludzie z całego świata, objęli go, gdyby mu mówili słowa pociechy i dobroci — pozostałby równie samotny.

I znów pomyślała, sztywniejac: — on umiera.

Tak mijała noc. I kiedy zbliżała się już ku końcowi, kroki ojca Bazylego stały się pewniejsze, wyprostował się, kilka razy spojrzął na popadyę i powiedział:

— POCO TYLE ŚWIATA? ZGAŚ.

Popadya pogasiła świece i lampy i niepewnym głosem przemówiła:

— Wasia!

— Jutro pomówimy. No, idź do siebie. Trzeba się kłaść.

Ale popadya nie odchodziła i o coś błagała go oczyma. I tak, jak dawniej, wysoki i silny, zbliżył się do niej i pogłodził ją po głowie, jak dziecko.

— Tak — popadya! — powiedział i uśmiechnął się. A twarz jego była blada przezroczyście błądząco, śmierci i wokoło oczu były czarne koła: jak gdyby noc tam się ukryła i nie chciała stamtąd wychodzić.

Zrana ojciec Bazyli wyjaśnił żonie wszystko: zrzuci suknie duchowne i w jesieni, zebrawszy pieniądze, pojedą — daleko, dokąd — jeszcze nie wiadomo. A idyota zostanie: odda go na wychowanie. I popadya płakała i śmiała się i po raz pierwszy od urodzenia idyoty, pocałowała męża w usta, rumieniac się i wstydzac.

Miał wtedy Bazyli Fiwejski czterdzieści lat, a żona jego — trzydzieści cztery.

że wkrótce przestanie pić całkiem. »Tam — będzie inaczej; tam nie trzeba będzie pić« — myślała, olśniona światłem nieuchwytnych, ale przepięknych marzeń.

Gdy przyszło lato — znów na całe dni wychodziła do lasu — w pole: wracała o zmroku i czekała przy furtce na O. Bazylego, który miał wrócić z sianozęcia. Cicho i zwolna rósł mrok krótkiej, letniej nocy i zdawało się, że noc nigdy nie nadejdzie i nie zgasi dnia; i tylko spojrzawszy na niewyraźne zarysy dnia, spoczywających na kolanach — czuła, że coś jest pomiędzy nią i jej rękoma, a to — była noc ze swą przezroczystą, zagadkową mgłą. I zaczynała się już niepokoić ale przyjeżdżał O. Bazyl, wysoki, silny, wesół, otoczony falą ostrego i przyjemnego zapachu traw i pola. Twarz jego ciemna była od mroku nocnego, a oczy jaśniały łagodnie i zdawało się, że w głosie jego dźwięczy bezbrzeżna szerokość pól i zapach traw i radość długiej pracy.

— Dobrze na ziemi — mówił i uśmiechał się jakimś ciemnym i zagadkowym uśmiechem, jak gdyby śmiał się z kogoś, albo z samego siebie.

— No, no, Wasia — pewnie, że dobrze! — przekonywająco mówiła popadya i szli na kolację.

Po obszarze pól O. Bazylemu ciasno było w małym pokoju: był skrzepowany długością swych rąk i nóg i tak niezgrabnie, tak śmiesznie poruszał nimi, że popadya wesoło żartowała.

VIII.

Przez trzy miesiące odpoczywały ich dusze; i znowu wróciły do domu utracona nadzieja i radość. Całą siłą przeżytych cierpień — uwierzyła popadya w nowe życie, zupełnie nowe i zupełnie inne, jakiego nikt z pośród ludzi nie ma i mieć nie może. Niewyraźnie odczuwała to, co się dzieje w sercu męża, ale widziała jego dziwną rzeźkość spokojną i równą, jak płomień świecy i widziała jakiś odmienny błysk w jego oczach, jakiego nie miał dawniej i wierzyła w jego siłę.

Ojciec Bazyli próbował czasami mówić z nią o tem, dokąd pojedą i jak będą żyli — ale ona nie chciała go słuchać: ściśle i wyraźne słowa płoszyły jej rozległe i nieuchwytnie marzenia i jakoś dziwnie i strasznie zbliżały przyszłość do męczącej przeszłości. Jednej rzeczy tylko pragnęła: żeby to wszystko było daleko, poza krańcami znanego jej i zawsze równie — straszego świata. Tak, jak i dawniej — zdarzało się, że piła, ale mijało to szybko i już się tego nie obawiała tak: wierzyła,

— Ot, gdyby cię teraz zmusić do napisania kazania. Nawet i pióra nie potrafisz utrzymać w ręku.

I oboje śmieli się.

Ale gdy O. Bazyli zostawał sam — twarz jego przybierała wyraz powagi i surowości; sam na sam z myślami swemi nie śmiał żartować i śmiać się. I oczy jego patrzyły przed siebie surowo i z dumnym oczekiwaniem — czuł bowiem, że i w te dni spokoju i nadziei — zawsze wisi nad życiem jego nieubłagane, zagadkowe fatum.

Dwudziestego siódmego lipca O. Bazyli zwoził z parobkiem snopy z pola. Cień — od pobliskiego lasu — słał się już ukośny i wydłużony i po całym polu zewsząd szły takie same długie ukośne cienie, gdy od strony wsi Znamienskiej dał się słyszeć słaby, ledwie dosłyszalny dźwięk dzwonu, dziwnego o tej porze niezwyklej.

O. Bazyli obejrzał się szybko: tam, gdzie wśród olch zarysowywał się dach jego domku, nieruchomie wisiał gęsty kłęb czarnego, smolnego dymu, a pod nim wił się, jak gdyby przyduszony, pąsowy, ale nieświecący płomień. Zanim zrzucono snopy z wozu, zanim przygalopowano do wsi — już się ściemniało i pożar kończył się, dopalały się, jak świece, czarne, zwęglone słupy, niewyraźnie białą kaflami obnażony piec; nisko się słał biały dym podobny do pary. Dym ten otulał nogi ga-

szących chłopów i zdawało się, że wiszą na tle nienakładającej lunoj, jak płaskie, niewyraźne cienie.

Cała ulica zapchana była ludźmi; chłopcy rozchlapali świeże błoto, utworzone z rozlanej wody, głośno i z podnieceniem rozmawiali i z uwagą przypatrywali się jeden drugiemu, jak gdyby nie poznając odrazu znajomych twarzy i głosów. Z pola przypędzono stado, które trwożnie biegało po wsi. Krowy ryczały; owce nieruchomie patrzyły szklanemi wypukłemi oczyma — przestraszone płątały się pod nogami i odskakiwały na bok, bez żadnego powodu do strachu — unosząc kopytami drobny kurz. Dopędzały je baby i po całej wsi rozlegało się jednostajne nawoływanie: kyc-kyc-kuć. I było coś dzikiego, coś pierwotnego w tych ciemnych postaciach, z ciemnymi, jakby z brązu ulanemi twarzami — w tem jednostajnym dziwnym nawoływaniu, w ludziach i zwierzętach, zlanym w jedność uczuciem żywiołowego strachu.

Dzień był cichy, bez wiatru i spłonął tylko jeden dom popa. Opowiadano, że pożar wszczął się w pokoju, gdzie spała pijana popadya — prawdopodobnie od iskry, która spadła z papierosa, albo od niedbale porzuconej zapalniczki. Wszyscy ludzie byli w polu i zdążono tylko uratować przestraszonego idyotę i niektóre sprzęty, popadya zaś była bardzo poparzona i wyciągnięto ją ledwie żywą, nieprzytomną. Kiedy opowiadano o tem O. Bazylemu, spodziewano się wybuchu rozpaczki i łez

i wszyscy byli zdziwieni: wyciągnawszy szyję, słuchał w skupieniu i uważnie, z mocno zamkniętymi wargami; i miał taki wyraz w twarzy, jak gdyby już wiedział o tem, co mu opowiadano i teraz tylko sprawdzał opowieść. Zdawało się, że w ciągu tej krótkiej, obłąkanej godziny, kiedy stojąc na podskakującym wozie — wściekle galopował z rozwianymi włosami i przykutem do ognistego słupa spojrzeniem — zdawało się, że już wtedy domyślił się wszystkiego: i tego, z jakiej przyczyny wszczął się pożar i tego, że całe mienie i popadya musiały zginąć, a ocaleć mógł tylko idyota i Naścia. Przez chwilę stał w milczeniu, ze spuszczo-nemi oczyma — i odrzuciwszy głowę w tył — stanowczo i prosto skierował się przez tłum do domu dyaka, gdzie znalazła przytułek umierająca popadya.

— Gdzie ona? — zapytał milczących ludzi. W milczeniu wskazali mu. Podszedł, nisko się pochylił nad bezkształtną, głucho jęczącą masą; nie ujrzał nic, tylko biały pęcherz, który strasznie zmieniał znajomą i drogą twarz i z przerażeniem odsunął się i zakrył twarz rękoma.

Popadya zaczęła się głucho niepokoić; widocznie wróciła do przytomności i chciała coś powiedzieć, ale zamiast słów, z gardła jej wyrzywało się głuche, przerywane charczenie.

O. Bazyli zdjął z twarzy ręce: nie widać było łez, ale twarz ta była natchniona i surowa, jak

twarz proroka. I kiedy zaczął mówić wyraźnie i głośno, jak się mówi do głuchych — w głosie jego dźwięczała niewzruszona, straszna wiara. W wierze tej nie było nic ludzkiego, nic drżącego; tak mówić mógł tylko ten, kto poznał niepojętą i straszną bliskość Boga.

— W imię Boże — czy słyszysz mię? — zawołał. — Naścia — jestem tu. Jestem tu — koło ciebie. I dzieci są tu. Oto jest Bazyli. Oto jest Naścia. — Po nieruchomej, strasznej twarzy popadyi nie można było poznać, czy słyszy, czy nie.

I podnosząc głos — mówił O. Bazyli dalej, zwracając się do bezkształtnej, opalonej masy:

— Przebacz mi — Naścia. Zgubiłem cię bez winy żadnej. Zgubiłem. Przebacz — jedyna miłości moja. I pobłogosław dzieciom w swem sercu. Oto są one: oto jest Naścia — oto jest Bazyli. Pobłogosław. I odejdz w pokoju. Nie lękaj się śmierci. Bóg ci przebaczył. Bóg cię kocha. On da ci wieczne odpoczywanie. Odejdz w pokoju. Tam ujrzysz Wasię. Odejdz w pokoju.

Rozeszli się wszyscy — jęcząc i płacząc i zabrano ze sobą uspięnego idyotę. O. Bazyli został sam jeden — z umierającą, na całą krótką letnią noc, w przyjscie której nie wierzyła popadya. Ukląkł i złożywszy głowę obok umierającej, wyczuwając lekki i straszny zapach spalonego mięsa — płakał cichemi i obfitemi łzami nieutulonego żalu. Płakał, myśląc o niej — młodej i pięknej, z ufno-

ścią oczekującej radości i pieśczoć; o niej — tracącej syna; o niej — obłąkanej, nieszczęsnej, nieprzytomnej ze strachu, opanowanej przez widma; płakał, myśląc o niej, oczekującej na niego w letnie zmierzchy — pokornej i jasnej. To jej ciało — niepieszczone — jej delikatne ciało pożerał ogień i ono wydzielalo ten swąd. I co się z nią działo wtedy, czy krzyczała, miotala się — wzywała męża?

O. Bazyli dziko obejrzał się zmaconemi oczyma i wstał. Było cicho, tak cicho, jak tylko bywa wobec śmierci. Spojrzał na żonę: była nieruchoma tą szczególną nieruchomością trupa, gdy wszystkie fałdy ubrania i okryć wydają się wyrzeźbione z zimnego kamienia, gdy na sukniach bledną jaskrawe kolory życia i jak gdyby zmieniają się w blade sztuczne barwy.

Popadya umarła.

Przez otwarte okno wpadało tchnienie ciepłej i miękkiej nocy i gdzieś daleko — potęgując jeszcze bardziej ciszę pokoju — harmonijnie brzęczały koniki polne. Koło lampy bez szelestu wirowały émy nocne, co wleciały przez okno, padały i znów krzywymi, chorobliwymi ruchami wznosiły się do ognia, to ginąc w mroku, to bielejąc, jak płatki wirującego śniegu.

Popadya umarła.

— Nie! Nie! — zaczął mówić pop głośnym

i przestraszonym głosem. — Nie! Nie! Ja wierzę. Tyś sprawiedliwy. Ja wierzę.

Upadł na kolana, przytulił twarz do zalanej podłogi, pokrytej strzępami brudnej waty i szarpi — jak gdyby pragnął w proch się obrócić i z prochem się zmieszać.

I w upojeniu bezbrzeżnego poniżenia, wyrzucając nawet z mowy swej wyraz »ja« wymówił: — Wierzę!

I znów modlił się, bez słów, bez myśli, modlitwą całego swego śmiertelnego ciała, co przez ogień i śmierć poznało niepojętą bliskość Boga.

Przestał odczuwać własne życie — jak gdyby zerwał wieczysty związek ciała i ducha i wolny od wszystkiego — co ziemskie, wolny od samego siebie — wznosił się duchem na nieznanne i tajemnicze wyżyny. Męczarnie, wątpliwości wiecznie nurtującej myśli, namiętny gniew i śmiałe okrzyki wzburzonej dumy człowieka — wszystko było unurzane w prochu wraz z upokorzonym ciałem: i tylko duch jeden, który zerwał ciasne pęta swego »ja« — żył tajemniczem życiem kontemplacyi.

Kiedy O. Bazyli się podniósł, było już widno i promień słońca, długi czerwoną jasną plamą kładł się na skamienialem ubraniu nieboszczki. I to go zdziwiło, dlatego, że ostatnia rzecz, jaką

pamiętał, było ciemne okno i nocne ćmy, miotające się wokoło światła. Kilka ciem, opalonych jak ciemne kulki, leżało koło lampy, która płonęła wciąż jeszcze niewidzialnym, żółtym płomieniem; jedna — szara, wołochata o dużej potwornej głowie — żyła jeszcze, ale nie miała sił wzlecieć i bezsilnie łaziła po stole.

Widocznie bolało ją wszystko i szukała teraz nocy i mroku, ale zewsząd lało się na nią bezlitosne światło i opalało malutkie, potworne — zrodzone dla mroku — ciało. Z rozpaczą zaczynała trzepotać krótkimi, opalonymi skrzydełkami, ale nie mogła wzlecieć w powietrze i znów kańciastymi, krzywymi ruchami, utykając na jeden bok, pełzła i szukała.

O. Bazyli zgasił lampę, wyrzucił za okno trzepocącą ćmę i rzeźki, jak po nocnym śnie, pełen poczucia siły, nowości i niezwykłego spokoju — poszedł do ogrodu dyaka. Tam chodził długo po prostej alei, założywszy ręce w tył, zawadzając głową o nizkie gałęzie jabłoni i czereśni — chodził i rozmyślał.

Słońce zaczęło mu przygrzewać głowę po przez gałęzie drzew, a na zakręcie — ognistym potokiem zalewało oczy i oslepiało: padały zcicha uderzając, zjedzone przez robaki — jabłka, a pod czereśniami, w suchej i miękkiej ziemi wygrzebywała coś i gdakała kwoczką z tuzinem puszystych, żółtych kurczątek — a on nie spostrzegał ani

słońca, ani spadających jabłek i rozmyślał. I dziwne były jego myśli, jasne i czyste, jak powietrze jasnego ranka i jakieś nowe: takie myśli nie zjawiały się jeszcze nigdy w jego głowie, zmroczonej smutną i ciężką zadumą. Myślał o tem, że tam, gdzie widział dotąd chaos i zły bezsens tam — potężna ręka wytknęła pewną i prostą drogę. Przez krater nieszczęść, przemocą odrywając go od domu, od rodziny, od powszednich zabiegów życiowych — potężna ta ręka wiodła go do wielkiego czynu, do wielkiej ofiary. Całe jego życie zmienił Bóg w pustynię, ale jedynie dlatego, by nie błądził po starych, wydeptanych drogach, po krzywych kłamliwych ścieżkach, jak błądzą ludzie, ale żeby w bezbrzeżnej, wolnej przestrzeni — szukał nowej i śmiałej drogi. Wczorajszy słup dymu i ognia — czyż nie był tym słupem ognistym, co żydom wskazał drogę wśród pustyni — gdzie żadnych dróg nie było?

I myślał: »Boże, czy wystarczą moje słabe siły?« a odpowiedzią dłoń był płomień, oświetlający duszę, jak nowe słońce.

Jest wybrany.

Na jakiś nieznaną czyn bohaterski, na jakąś nieznaną ofiarę — wybrany jest on — Bazyli Fiwejski — ten, co świętokradzko i obłudnie uskarżał się na swój los. On jest wybrany. Niech pod stopami jego rozpadnie się ziemia i piekło stamtąd wyrzy swemi czerwonymi kłamliwymi

oczyma — nie uwierzy nawet w piekło. Jest wybrany.

I czyż nie twarda ziemia pod jego stopą?

O. Bazyli zatrzymał się i tupnął nogą. Niespokojnie zagłaskała i nastroszyła pióra przelękniona kura, zwołując kurczęta. Jedno z nich było daleko i szybko pobiegło na głos matki, ale po drodze pochwyciły je wielkie, kościste i gorące ręce. Uśmiechając się O. Bazyli ogrzał żółte kurczątko gorącym i wilgotnym oddechem, miękko złożył ręce, formując jakby gniazdko, ostrożnie przycisnął je do piersi i znów zaczął chodzić po długiej i prostej alei.

— Jaki czyn? Nie wiem. Ale czyliż śmiem wiedzieć? Oto znałem swój los, nazywałem go bezlitosnym i ta moja wiedza — była kłamstwem. Oto — chciałem zrodzić syna i potwór bezkształtny, bezmyślny wszedł do domu mego. Oto — zamyslałem powiększyć mienie moje i porzucić dom, a on mię porzucił wcześniej, spalony ogniem niebieskim. I oto — moja wiedza. A ona — ta bezbrzeżnie nieszczęsna kobieta — poniżona nawet w swym płodzie, kobieta — co wypłakała wszystkie łzy swoje, przeżyła wszystkie lęki? Oto czekała nowego życia na ziemi — i życie to byłoby równie nieszczęsne — a teraz leży tam — umarła, a dusza jej śmieje się i wiedzę swą zowie — kłamstwem. On wie. On dał mi dużo. Dał mi możliwość zrozumieć życie i ból i ostrzem mego

nieszczęścia przeniknąć nieszczęścia ludzi. Dał mi możliwość odczucia ich wielkiego oczekiwania i dał mi miłość ku nim. Zali oni nie czekają i zali nie kocham ich? Bracia mili! Bóg ulitował się nad nami i nadeszła godzina zmiłowania Bożego!...

Ucałował puszystą główkę kurczęcia i mówił dalej:

— Moja droga. Ale czyż rozmyśla o drodze strzała, wypuszczona z silnej ręki? Leci i przebijaj cel, pokorna woli tego, co ją wypuścił. Mnie dana jest zdolność wiedzy, zdolność kochania, a co stanie się z tej wiedzy, z tego kochania, to stanie się za Jego świętą wolą — to będzie mój czyn, moja ofiara.

Ogrzane ciepłem ręki — kurcze przyknęło oczy i usnęło; uśmiechnął się pop.

— Tylko ścisnąć rękę i ono skona. A leży w moim ręku, na moich piersiach i śpi z ufnością. A czyliż ja — nie jestem w ręku Jego? I ośmielim się nie ufać zmiłowaniu Boskiemu — kiedy oto ono ufa mej dobroci — człowieka, memu ludzkiemu sercu.

Zcicha zaśmiał się, ukazując czarne zgniłe zęby i na surowej jego, nieprzystępnej twarzy rozlał się uśmiech tysiącem jasnych drobnych zmarszczek: niby promień słońca, igrający na ciemnej, głębokiej wodzie. I odplynęły wielkie, ważne myśli, splecione radością człowieka i długo — była tylko

radość, tylko śmiech, światło słońca i delikatne, puszyste, uśpione kurczę.

Ale oto wygładziły się zmarszczki, twarz przybrała wyraz surowy i poważny i natchnienie zabłysło w jego oczach. Stańło przed nim to, co najważniejsze, co największe — a imię tego — cud. Tam nie śmiała jeszcze zajrzeć myśl jego, wciąż jeszcze ludzka — zbyt ludzka myśl. Tam była granica myśli. Tam w słonecznych otchłaniach — bez dna — niewyraźnie zarysowywał się świat nowy, który już nie był ziemią.

Świat miłości, świat boskiej sprawiedliwości, świat jasných, nieznających lęku twarzy, nieokrytych zmarszczkami cierpień, głodu i chorób. Jak wielki olbrzym-brylant iskrzył się ten świat w słonecznych otchłaniach bez dna i z bólem, ze strachem patrzyły weń oczy ludzi.

I kornie pochylając głowę, przemówił O. Bazyl:

— Niech się stanie święta wola Twoja...

W ogrodzie ukazali się ludzie: dyak, jego żona i wiele innych. Zdala ujrzeni popa i przyjaźnie kiwając głowami — pośpiesznie skierowali się ku niemu, zbliżyli się, zwolnili kroku i stanęli w osłupieniu, jak stają ludzie przed ogniem, przed wzburzoną rzeką, przed spokojnym zagadkowym wejściem waryata.

— Czemu patrzycie tak na mnie? — ze zdziwieniem zapytał O. Bazyl.

Ale oni nie ruszali się i patrzyli. Przed nimi

stał wysoki człowiek, zupełnie nieznany, zupełnie obcy i jakąś potęgą i spokojem — usuwał ich od siebie. Był ciemny i straszny, jak cień z innego świata, a po twarzy jego, w jasných zmarszczkach mknął iskrzący się uśmiech, niby promień słońca, igrający na czarnej, głębokiej wodzie. I w kościstej, dużej ręce trzymał żółte pulchne kurczę.

— Czemu patrzycie tak na mnie? — powtórzył, uśmiechając się. — Czyż cudem jestem?

— Zostawcie to — ojcze dyakonie. Siedzę wygodnie i tak dojadę. Zegnajcie — ojcze.

— Zegnaj — Naścia. Ucz się i nie len się.

Wóz ruszył, podrzucając Naścię, ale już za chwilę siedziała ona znów wyprostowana, jak kij i nie kołysała się na wybojach, tylko podskakiwała.

Dyak wyjął chustkę, żeby powiać nią w stronę odjeżdżającej, ale Naścia nie oglądała się; dyak, z wyrzutem kiwając głową, otarł z przeciągłym westchnieniem nos i chustkę schował do kieszeni.

I tak odjechała Naścia, żeby już nigdy nie powrócić do Znamińskiej wioski.

— I synka wartoby wysłać — O. Bazyli. Bo przecie trudno wam będzie — ojcze — z jedną tylko kucharką. Głupia to baba, a przytem głucha — powiedział dyak, kiedy już opadł kurz za wózkiem, który znikł w oddali.

O. Bazyli zamyślony spojrział na niego.

— Zebym swój grzech ludziom podrzucił? Nie. Grzech jest mój, przy mnie też być musi. Jakos przeżyjemy — jeden stary — drugi mały — tak — ojcze?

Uśmiechnął się przyjemnie i łagodnie i trochę ironicznie z tego, o czem wiedział on sam tylko i poklepał dyaka po tłustem ramieniu.

Prawo korzystania ze swojej ziemi odstąpił O. Bazyli służbie kościelnej, wymówiwszy sobie niewielką sumkę — »wдовиą«, jak się wyrażał — na swoje utrzymanie.

IX.

Wszyscy widzieli, że O. Bazyli Fiwejski z pośpiechem zrywał ze wszystkim, co go jeszcze łączyło z przeszłością i z marnymi zabiegami o życie. Szybko porozumiawszy się z siostrą, która mieszkała w mieście, odesłał do niej Naścię; ani przez jeden dzień jej nie zatrzymał; pośpiesznie ją wyprawiał, obawiając się, że w sercu jego wzmoże się ojcowska miłość i przez to wiele ujmie ludziom.

Naścia odjechała bez radości i bez rozpaczy; była zadowolona, że matka umarła i żałowała tylko, że nie spalił się idyota. Siedząc już w wózku, w niemodnej sukni, przerobionej z matczynej, w krzywo nałożonym dzieciennym kapeluszu — podobna była bardziej do dziwacznie przebranej, nieładnej dziewczyny, niż do podlotka.

Obojętnie spoglądała swemi wilczemi oczyma na kłopotzącego się dyaka i mówiła suchym głosem — jak ojciec:

— A może i tego nie będę brał — zagadkowo powiedział, uśmiechając się przyjemnie i trochę ironicznie z tego, o czym wiedział on sam tylko.

I jeszcze jednego czynu dokonał: wyrobił miejsce parobka dla puchnącego już z głodu — Mosiagina — u Iwana Porfirjewicza. Ten ostatni z początku wypędził Mosiagina, który zjawił się u niego z prośbą, ale po rozmowie z popem, nie tylko przyjął na służbę chłopca, ale i O. Bazylemu posłał belki na budowę domu. A do żony swej, wiecznie milczącej i wiecznie ciężarnej kobiety — powiedział:

— Zapamiętaj moje słowa: nawarzy kaszy ten pop.

— Jakiej kaszy? — obojętnie zapytała żona.

— Zobaczysz. Tylko dlatego, że to się mnie nie tyczy — milczę. Inaczej-bym... — nieokreślenie spojrzął w okno, na drogę, prowadzącą do gubernialnego miasta.

I nie wiadomo skąd, czy z powodu zagadkowych słów starosty, czy z jakiego innego źródła, rozeszły się po wsi, a potem i dalej — jakieś niewyraźne i trwożne pogłoski o popie ze Znamienskiej wsi.

Jak dymy spalenizny dalekiego leśnego pożaru — pogłoski te szły wolno i głucho i nikt ich nie spostrzegał, tylko spojrzawszy jeden na drugiego i na przyciągające słońce, ludzie pojmowali,

że przyszło coś nowego, niezwykłego — budzącego trwogę.

W połowie października postawiono nowy dom, ale go jeszcze nie wykończono i tylko jedna połowa domu pokryta była dachem; druga zaś — bez dachu, z pustymi oknami bez ram — przyczepiona była do części zamieszkałej, jak szkielec do żywego człowieka i dlatego robiła wrażenie jakiejś porzuconej i strasznej. Nowych mebli pop sprawiać nie chciał: pośród nagich, belkowanych ścian, na których nie zdążyły jeszcze stwardnieć bursztynowe krople smoły — we wszystkich czterech pokojach były tylko dwa niepomalowane taburety, stół i łóżka. Głucha i głupia kucharka źle paliła w piecach, w pokoju zawsze czuć był dym i często bolała głowa od czadu, co jak sinawy obłok pełzał po brudnej, nieumytej podłodze. I zimno było.

W czasie silnych mrozów okna z zewnątrz okrywały się białą warstwą puszystego śniegu i w domu panowało zimno, białe po-światło: na oknach od początku zimy zamarzyły dwa kawały lodu i z lodu tego ciekły po podłodze strumienie wody. Nawet niewybredni chłopci, przychodząc do popa za interesami, ze skrzępowaniem i jakby poczuwając się do winy z ukosa spoglądali na ubóstwo mieszkania, a dyak z gniewem nazywał dom popa »ohydną pustką«.

Gdy O. Bazyli po raz pierwszy wszedł do nowego domu — długo i radośnie chodził po zimnych i pustych — jak stodoły — pokojach i wesoło zwrócił się do idyoty:

— Dobrze tu z tobą będziemy żyć, Bazyli.

Idyota oblizywał wargi długim, jak u zwierzęcia, językiem i wydawał z siebie jakieś skaczące, jednostajne i głośne odgłosy:

— Gu-gu! Gu-gu!

Było mu wesoło i śmiał się. Ale wkrótce uczuł chłód, osamotnienie i nudę tego porzuconego domu, gniewał się, krzyczał, bił się po policzkach i usiłował dostać się na podłogę, ale tylko przewracał się i boleśnie się uderzał. Czasami wpadał w stan ciężkiego osłupienia, podobnego do nieokreślonej i dziwnej zadumy. Opierając głowę na cienkich, długich palcach, zlekka wysuwając koniuszek języka — nieruchomie patrzył przed siebie z pod wąskich, zwierzęcych powiek. I wtedy zdawało się, że nie jest wcale idyotą — że ma jakieś myśli swoje odmienne, niepodobne do myśli innych ludzi i że wie coś dziwnego, prostego i zagadkowego, o czym nie wie nikt z ludzi. I zdawało się, patrząc na jego spłaszczony nos o szerokich wyniętych nozdrzach, na jego ścięty koniec czaszki, co zwierzęcą linią przechodził bezpośrednio w linię pleców — zdawało się, że gdyby mu dać mocne i bystre nogi i uciekły do lasu i żył tam tajemni-

czem leśnym życiem, pełnym zabaw, okrucieństw i ciemnej leśnej mądrości.

I tuż obok niego, wiecznie we dwoje, wiecznie sam na sam, to ogłuszony jego złym bezwstydnym krzykiem, to znów pod jego skamieniałem, zagadkowym spojrzeniem — żył O. Bazyli tajemnem życiem duszy, co się wyrzekła ciała.

Chciał być czysty, nim przystąpi do tego wielkiego czynu, do tej wielkiej, nieznannej jeszcze ofiary — i całe dnie i noce jego stały się jedną nieprzerwaną modlitwą, jedną ekstazą bez słów. Od śmierci popadyi zachowywał surowy post: nie pił herbaty, nie jadł mięsa i ryby, a w dniach postnych — we środę i piątek — żywił się tylko chlebem, rozmoczonym w wodzie.

Z niepojętą surowością do takiego samego postu zmuszał idyotę i ten się męczył, jak głodne zwierzę; krzyczał, drapał sam siebie i nawet płakał skąpami, psiemi łzami, ale nie mógł nawet wyprosić jednego kawałka. Z ludźmi widywał się pop mało i tylko z konieczności; usilnie skracając czas przebywania z nimi i całe godziny, z krótkimi przerwami na sen i posiłek, spędzał na modlitwie — na klęczkach. A gdy się zmęczył — siadał i czytał Ewangelię, Dzieła Św. Apostołów i Żywoty Świętych. Zwykle msza się odprawiała tylko we święta, teraz zaś on codziennie odprawiał ranną mszę. Zestarzały dyak odmówił służyć mu do mszy i pomagał mu tylko »psałomszczyk«, brudny i samo-

tny starzec, kiedyś dawno pozbawiony stanu dyakońskiego — za pijaństwo.

Gdy jeszcze było ciemno, dygocąc od rannego zimna, brnął O. Bazyli do cerkwi. Droga była nie-daleka, a jednak zabierała dużo czasu: często przez noc nawiało całe zasy pyłgu, nogi tonęły i ślizgały się w suchej iskrzącej się masie i jeden krok równał się dziesięciu. W cerkwi niedość pалono i chłód był nie do zniesienia, ten szczególny, przejmujący chłód, jaki bywa zwykle w zimie w niezamieszkałych budynkach. Przy oddechu ukazywała się gęsta para i dotknięcie metalicznych przedmiotów sprawiało ból. Umyslnie dla popa — psalomszczyk — który jednocześnie był i stróżem — rozpał jeden piec i przy otwartych drzwiczkach przysiadł O. Bazyli i ogrzewał ręce: inaczej nie mógłby utrzymać krzyża w zdrętwiałych, niezginających się palcach. Przy piecu, w ciągu tych dziesięciu minut żartował z psalomszczykiem na temat zimna i potów cygańskich, a psalomszczyk ponuro i pobłażliwie słuchał go; od ciągłego pijaństwa i od zimna nos psalomszczyka był purpurowo-siny, a okryty szczecina podbródek, który zaczął golić dopiero od czasu, gdy został pozbawiony stanu dyakońskiego — poruszał się równomiernie, jak przy poziewaniu.

Potem O. Bazyli ubierał się w stary ornat, na którym zamiast złotego wyszycia — sterczały wytarte nici; do kadzielnicy wrzucano trochę kadzidła

i w półmroku, nie widząc się wyraźnie nawzajem, ale poruszając się pewnie, jak ślepi w znajomem miejscu, zaczęli odprawiać mszę. Dwie woskowe świeczki, jedna w ręku psalomszczyka, druga przed obrazem Zbawiciela — tylko potęgowały jeszcze bardziej mrok, i ostre ich płomyki wolno kołysały się w takt poruszeń tych dwóch niespieszących się ludzi.

Mszę odprawiali długo, odprawiali wolno i uroczyście; i każde słowo drżało i rozpyływało się w powietrzu, a zimne echo pustej cerkwi — odbijało je. I było tylko echo, i mrok i dwóch ludzi, służących Bogu; i powoli rozpałło się coś w piersi staroego, pijanego psalomszczyka. Nastawiając uszy — starannie chwycił każde słowo popa i zawczasu zaczął poruszać kłującym podbródkiem; i znikła gdzieś samotna, brudna starość, znikło całe zawiedzione, tęskne życie, a to, co się w zamian zjawiało — było niezwykle i radosne, aż do łez. Często na głos psalomszczyka długo nie słyhać było odpowiedzi od ołtarza i zapanowywała długa i surowa cisza i tylko nieruchomie pały się żółte, ostre języki świec; potem z daleka dochodził głos, nabrzmiały łzami i radością. I znów w półmroku poruszały się pewnie dwie powolne postacie i płomień się kołysał w takt ich powolnych, równomiernych poruszeń.

Gdy msza się kończyła — robiło się już widno i O. Bazyli mówił:

— Widzisz — Nikonie — już się ociepliło.

A z ust jego ulatywała para. Zmarszczki na policzkach Nikona były zaróżowione, surowo i pytająco spoglądał na popa i z niedowierzaniem zapytawał:

— A — jutro — będziemy? A może — nie można?

— A jakże — Nikonie — będziemy, będziemy.

Z uszanowaniem odprowadzał popa aż do drzwi i szedł do siebie. Tam ze szczeniem i z piskiem spotykało go z dziesięć psów dużych i szceniąt; otoczony nimi, jak dziećmi, karmił je i pieścił, a sam rozmyślał o popie. Rozmyślał o popie i dziwił się. Rozmyślał o popie i uśmiechał się, nie roztwierając ust i odwracając się od psów, żeby nie widziały jego uśmiechu.

I tak rozmyślał, rozmyślał aż do samej nocy. A zrana czekał, czy nie oszuka go pop, czy nie złąknie się mroku i mrozu. Pop jednak przychodził — przemarznięty, lecz wesół i znów od drzwiczek pieca w ciemną głębię cerkwi wysnuwał się pąsowo-czerwony promień, a za nim chwiał się czarny, topniejący cień.

Z początku, zasłyszawszy o dziwactwach popa wielu ludzi przychodziło umyślnie, żeby popatrzeć na popa i dziwili się; niektórzy z pośród ciekawych, uważali go za waryata; inni rozrzewniali się i płakali, ale byli i tacy, i takich było wielu, w sercu których wyrastała ostra, nieokreślona

trwoga. Bowiem w prostem, odważnie otwartem i jasnym wejrzeniu popa widzieli przebłyksi tajemnicy najgłębszej, najtajniejszej, pełnej niewytłomaczonych grózb i złowrogich obietnic. Ale wkrótce ciekawi zaprzestali przychodzić i cerkiew przez długi czas świeciła pustkami w czasie tych ciemnych, rannych godzin i nikt nie zakłócał spokoju tych dwojga modlących się ludzi. Ale minął jeszcze czas jakiś i na głos popa z mroku cerkwi odpowiadały nieśmiałe, powściągliwe westchnienia; czyjeś kolana głucho uderzały o kamienną podłogę; czyjeś usta szeptały; czyjeś ręce stawały całkowitą malutką świeczkę i pośród dwóch — prawie dopalonych świeczek — ona stała jak młodzianka wysmukła brzózka pośród wyrąbanego lasu.

I zaczęły się utrzymywać trwożliwe, głucho, niewyraźne pogłoski. Wpełzały wszędzie, gdzie tylko byli ludzie i zostawiały po sobie jakiś osad lęku, nadziei i oczekiwania. Mówiono niewiele, mówiono jakoś nieokreślenie, przeważnie kiwano głowami i wzdychano, ale już w sąsiedniej gubernii, o sto wiorst od Znamienskiej wsi, ktoś — szary, milczący — niespodzianie — głośno zaczął mówić o »nowej wierze« i znów ukrył się w milczeniu.

A pogłoski posuwały się dalej — jak wiatr, jak chmury, jak dym spalenizny dalekiego, leśnego pożaru.

Najpóźniej pogłoski te doszły do miasta — jak gdyby było im boleśnie i trudno przedrzeć się po

przez murowane ściany — po hałaśliwych i luźnych ulicach.

I jakieś gołe, obdarte — jak złodzieje — dotarły wreszcie te pogłoski do miasta — i głosiły, że ktoś sam siebie spalił, że powstała jakaś nowa, potworna sekta.

Do wsi Znamienskiej przyjechali urzędnicy w mundurach, nie znaleźli nic, a domy i obojętne twarze nie powiedziały im nic — odjechali z powrotem, dzwoniąc dzwoneczkami.

A pogłoski — po tych odwiedzinach — stały się jeszcze bardziej uparte, bardziej złe — i co rano odprawiał mszę O. Bazyli Fiwejski.

X.

Całe długie zimowe wieczory spędzał O. Bazyli z idyotą, zamknięty wraz z nim — niby do jednej skorupy — do białej klatki o sosnowych ścianach i suficie.

Z przeszłości pozostało mu zamięłowanie do jasnego światła — i na stole, ogrzewając pokój — białym ogniem płonęła wielka lampa o dużym kominu. Zamarznięte okna, okryte niby puchem — szronem, przy ogniu jaśniały i iskrzyły się; nieprzeniknione były, jak ściany i oddziały ludzi od szarej nocy. Noc ta, nieskończonym pierścieniem opasywała dom, dusiła go z góry, szukała otworu, przez który mogłaby wsadzić swój szary pazur — i nie mogła znaleźć. Szukała przy drzwiach, martwemi rękoma macała ściany, dmuchała zinnem, z gniewem unosiła miriady suchych, złośliwych okruchów śniegu i rzucała je z rozpędu w szyby, a potem — oszalała uciekała w pole — przewracała się, śpiewała, twarzą ciskała się w śnieg —

niby krzyżem obejmując zmarzłą ziemię. Potem podnosiła się, przysiadła i długo i cicho patrzyła na oświetlone okna — zgrzytając zębami. I znów z piskiem rzuciła się na dom, wyła w kominie głodnym wyciem nienasyconej złości i tęsknoty i oszukiwała: nie miała dzieci, pożarła je i pochowała w polu, w polu, w polu...

— Zamieć — mówił O. Bazyli, nasłuchując i znów spuszczał oczy na książkę.

Wreszcie znalazła. Ogień wielkiej lampy roztopił troszkę puszystego szronu i utworzył mały otworek, gdzie zabłysło mokre szkło — i z zewnątrz przylgnęła ona do tego otworu swem szarem bezbarwnem okiem.

Ich jest dwoje, dwoje, dwoje... Obdarte, nagie ściany z błyszczącymi kropelkami bursztynowej smoły, zięjąca pustka w powietrzu i ludzie.

— Jest ich dwoje.

Pochyliwszy małą, wąską czaszkę, idyota kleił z tektury pudełka: smarował klejem, trzymając pendzel za długi koniuszek i krajał papier, a każde skrzypnięcie nożyczek wyraźnie i głośno rozlegało się po pustym domu. Pudełka były nieładne, o krzywych bokach, brudne, ze sterczącym i odklejającym się papierem, ale on nie widział tego i kleił dalej. Zrzadka podnosił głowę i nieruchomym wzrokiem z pod wąskich zwierzęcych powiek spoglądał w oświetloną przestrzeń pokoju. Tam popychały się, podrzucały się i wirowały dźwięki. Szelest,

szmer, trzask, uderzenia, wybuchy, czyjś śmiech i długie przeciągłe westchnienie. Wirowały nad nim, jak pajęczyna, przemykały się po twarzy i wchodziły do głowy — szelesty, szmery i długie przeciągłe westchnienia. A człowiek — naprzeciwno niego — siedział nieruchomie i milczał.

— Bach! — rozległ się trzask pękającego drzewa i wzdrzygnawszy się, oderwał O. Bazyli oczy od białych stronnice. I wtedy widział i nagie ściany i okryte puchem szronu — okna, i szare oko nocy i idyotę zamarłego z nożyczkami w ręku. Wszystko migotało, jak widzenie — i znów przed spuszczo-nymi oczyma roztwierał się niepojęty świat cudów, świat miłości, świat łagodnej litości i przepięknej ofiary.

— Pa-pa! — mruczał idyota, wymawiając wyraz, którego się niedawno nauczył i z podełba — trwożnie i gniewnie patrzył na ojca. Ale człowiek nie słyszał, milczał i natchnioną była jego jasna twarz. Marzył — i dziwne były te marzenia jasnego — jak słońce — obłędu; wierzył tą wiarą męczenników, którzy wchodzili na stos — jak do radosnej łożnicy i umierali — błogosławiąc. I kochał potężną, niepohamowaną miłością władcy, tego — który włada życiem i śmiercią i nie zna, co jest męczarnia tragicznej bezsily miłości ludzkiej.

Radość! Radość! Radość!

— Pa-pa! Pa-pa! — jeszcze raz zamruczał

idyota, ale nie usłyszał odpowiedzi i znów się zabrał do nożyczek. Ale wkrótce porzucił je i utkwivszy nieruchome oczy, nastawiając duże uszy cierpliwie chwycił umykające odgłosy. Szypienie i szmer, pisk i gwizd. I śmiech.

Noc bawiła się. Siadała na belkach porzuconych drzew, huśtała się i rzucała do śniegu, zcicha zakradała się do kąta i kopała tam grób — dla obcych — dla obcych.

I śpiewała: dla obcych, dla obcych!

I z radością wyrzucała w górę i roztaczała szerokie, szare skrzydła, wypatrując coś; jak kamień spadała na ziemię i wirując leciała po przez ciemne okna porzuconego, pokrytego szronem domu — leciała z piskiem i gwizdaniem. Gnała za płatkami śniegu, dopędzała je — a te pobladłe ze strachu — wyciągając się w milczeniu, umykały.

— Pa-pa! — głośno zawołał idyota. — Pa-pa! Człowiek usłyszał i podniósł głowę — o długich, siwych i czarnych włosach, co niby zamieć i noc otaczały jego głowę. Na mgnienie stają przed nim nagie ściany i zła, przestraszona twarz idyoty i wycie rozszalałej wichury — i dusza jego napelnia się męczącym zachwytem.

Stanie się. — Stało się!

— Czego chcesz — Bazyli? Dlaczego nie kleisz — klej!

— Pa-pa.

— Czemu się niepokoisz? Zamieć? Tak. Tak. Zamieć.

O. Bazyli przylgnął twarzą do szyby — oko w oko z szarą nocą i patrzy. I szeptem coś z przerażeniem.

— Dlaczego on nie dzwoni? A jeśli ktoś błądzi w polu?

Noc płacze. W polu, w polu, w polu...

— Zaczekaj, Bazyli. Pójde do Nikona. Zaraz powrócę.

— Pa-pa!

Drzwi uderzają i znów wbiegają odgłosy. Onieśmielone — cisną się do drzwi, ale tam niema nikogo. Widno i pusto. Jeden za drugim przekradają się aż do idyoty — po podłodze, po suficie, po ścianach — zaglądną mu w zwierzęce oczy, szepcą, śmieją się i zaczynają się bawić. Coraz weselej, coraz głośniej. Gonią się, skaczą i padają; dokazują w sąsiednim ciemnym pokoju, biją się, płaczą. Niema nikogo. Widno i pusto. Niema nikogo.

— Bo-om! — skądś — z góry — spada pierwsze ciężkie uderzenie dzwonu i rozpędza małe, przełknięte dźwięki. — Bo-om! — spada drugie, głuche, przeciągłe i przerywane: jak gdyby wichur wpał do szerokiej paszczy dzwonu i dzwon się dusi i stęka. Malutkie dźwięki umknęły.

— Oto jestem! — mówi O. Bazyli. Biały jest cały i dygoce. Stężale, czerwone palce w żaden sposób nie mogą przewrócić białej stronnicy. Chu-

cha na ręce, rozciera jedną o drugą i znów zcicha szeleszczą stronnice — i wszystko znika: obnażone ściany, ohydna maska idyoty i równomierne, głuche uderzenia dzwonu. I znów obłądnym zachwytem ponie mu twarz.

Radość! Radość!

— Bo-om!

Noc igra z dzwonem. Podchwytuje głośne, rozbrzmiałe dźwięki, okręca się wokoło nich z gwizdem i wyciem, rwie, rozrzuca, toczy je ciężko w pole, zakopuje do śniegu i nasłuchuje, pochylając głowę na bok. I znów biegnie na spotkanie nowych dźwięków, niezmeńczona, zła i taka chytra — jak bies.

— Pa-pa! — woła idyota i rzuca o podłogę dzwoniące nożyczki.

— No-co? No, uspokój się.

— Pa-pa!

W pokoju milczenie, gwizdanie i złe wycie zawieji i głębokie, głuche uderzenia dzwonu. Idyota z trudnością porusza głową i cienkie jego, bez życia nogi ze zgiętymi palcami i delikatną podeszwą, co nie dotknęła jeszcze podłogi — poruszają się słabo, bezsilnie porywając się do biegu. I woła:

— Pa-pa!

— No, dobrze. Przestań. Posłuchaj tego, co ci przeczytam.

O. Bazyli przewrócił z powrotem jedną stronicę i zaczął czytać surowym i poważnym głosem,

jak w cerkwi: »I przechodząc — ujrzał człowieka — ślepego od urodzenia.«

Podniósł rękę i blednąc spojrzął na Wasię.

— Rozumiesz! Ślepego od urodzenia. Nigdy nie widział słońca, ani twarzy przyjaciół i blizkich. Wszedł w życie i mrok go ogarnął. Biedny człowiek! Ślepy człowiek!

W głosie popa dźwięczała niewzruszona wiara i zachwyt nasyconej litości. Milczał i cicho spoglądał uśmiechniętym wzrokiem, jak gdyby nie mogąc się rozstać z tym biednym człowiekiem, który był ślepy od urodzenia, nie widział twarzy przyjaciela i nie myślał o tem, że tak blizkie jest boskie zmiłowanie. Zmiłowanie — i litość, i litość...

— Bo-om!

— No — posłuchaj — synu. — »Uczniowie go pytali: Rabbi, kto zgrzeszył; on, czy rodzice jego, że urodził się ślepy?« — »Jezus odrzekł: Nie zgrzeszył ani on, ani rodzice jego, a stało się to tylko dlatego, aby na nim objawiło się dzieło Boże.«

Głos jego wzmacnia się i brzmieniem swem napelnia cały obnażony pokój. I głośne dźwięki jego zapanowują nad cichem wyciem, i szmerem, i gwizdaniem, i nad rozciągniętym, przerywanem i błąkającym się brzmieniem zduszonego dzwonu.

Idyocie robi się weselej: od płomiennego głosu popa, od błyszczących jego oczu, od szumu, wycia i uderzeń dzwonu. Uderza się po sterzących uszach,

ryczy i gęsta ślina dwoma brudnymi strumieniami spływa mu po niskim podbródku.

— Pa-pa! Pa-pa!

— Słuchaj! Słuchaj! — »Powiniennem spełniać rozkazy tego, kto mię posłał — dopóki dzień jest; przychodzi noc — a wtedy nikt działać nie może.«
»Dopóki ja jestem na ziemi — ja jestem światłem ziemi.«

— Na wieki wieków, na wieki wieków! — rzuca w noc i zamieć — namiętne, tryumfujące okrzyki. — Na wieki wieków!

Dzwon zwołuje zbłąkanych i płacze bezsilnie starym, rzewnym głosem. I noc kołysze się na tych czarnych, ślepych dźwiękach i śpiewa: ich dwoje — dwoje — dwoje!...

I O. Bazyli słyszy to niewyraźnie i surowo pyta idyoty:

— Co ty tam burczysz?

Ale idyota milczy i jeszcze raz — niedowierzająco spojrzawszy na niego — O. Bazyli czyta dalej:

»Ja jestem światłem świata. Powiedziawszy to, pluł na ziemię, roztarł ślinę ze ziemią i posmarował tem oczy ślepego — i powiedział mu: pójdz, umyj się w wodzie Siłoam (co oznacza — posłany). On poszedł i umył się i powrócił widzący.«

— Widzący — Wasia — widzący! — groźnie krzyknął pop i zerwawszy się z miejsca, szybko

zaczął chodzić po pokoju. Potem zatrzymał się pośrodku i zawołał:

— Wierzę! — Panie Mój. — Wierzę!

I stało się cicho. I głośny, skaczący śmiech przerwał ciszę, uderzył popa w plecy — i ze strachem odwrócił się pop.

— Co tobie? — z przestachem spytał go — cofając się.

Idyota śmiał się. Bezmyślny, złowrogi śmiech rozdarł aż do uszu nieruchomą, ogromną maskę i z szerokiego otworu ust niepowstrzymanie wyrwał się dziwacznie pusty, skaczący śmiech!

— Gu-gu-gu! Gu-gu-gu!

dobrze. Nieruchome powietrze dusiło i przygniatało i jakiś niepokój zmuszał do ruchu, do głośnych, urywających się rozmów i do śmiechu bez przyczyny.

Pracowało dwóch ludzi: psalomszczyk Nikon, który wybierał piasek dla cerkwi, i parobek starosty — Siemion Mosiagin. Iwan Porfirjewicz lubił mieć dużo piasku i na ulicy przed domem i na brukowanym dziedzińcu i Siemion od rana zdążył już zawieźć jeden wóz, a teraz nakładał drugi, żwawo podrzucając pełne łopaty złocistego, pięknego piasku. Było mu wesoło od głośnego brzęczenia pszczół, od zapachu i przyjemnej pracy; wesoło spoglądał na posępnego psalomszczyka, który leniwie wydłubywał piasek jakąś wyszczerbioną motyką — i drażnił go:

— Ech — bracie — Nikonie Iwanowiczu, napróżno przepada nasza piękność — twoja i moja.

— Powtórz drugi raz — odpowiadał psalomszczyk z leniwą i nieokreśloną groźbą i gdy mówił, dymiąca fajka zwisała mu z ust na siwą szczecinę podbródka i stukała.

— Uważaj — smoczek upuścisz! — przestrzegał Siemion.

Nikon nie odpowiedział i Siemion, nie odwracając się — kopał dalej. W ciągu półroka, jakie przebył u Iwana Porfirjewicza — stał się gładki i okrągły, jak świeży ogórek, i lekka praca nie mogła zużyć wszystkich sił jego i uwagi; szybko

XI.

Przed Zielonemi Świątami, przed tem jasnym i wesołym świętem, zwożono czerwony piasek, żeby posypać ścieżki. Głębokie doły, skąd chłopci już od kilku lat wydobywali dla siebie piasek, leżały o jakie dwie wiorsty za wsią, wśród niewysokich, gęstych i trochę wyrąbanych brzoź, osik i dębów. Był dopiero początek czerwca, a trawa wyrosła aż po pas i do połowy przykryła puszystą i potężną zieloność rozrzuconych krzaków o dużych, wilgotnych i zielonych liściach. I kwiatów w tym roku było dużo i zewsząd przylatywały ku nim pszczoły i na dno głębokiego kwiatu z oblatującymi i spadającymi płatkami lało się gorące i równe brzęczenie i delikatny, prosty zapach.

I już od kilku dni wszystko oczekiwało burzy i przeczuwało ją. Burza była w rozpalonem, ciemnym powietrzu, w duszących nocach — bez rosy; burzy pragnęło zmęczone bydło i błagalnie ryczało, zadzierając głowy. I ludziom było duszno i jakoś

wbijął łopate, podkopywał i rzucał i ze zwinnością i szybkością — z jaką kura zbiera ziarna — zbierał rozsypane okruszyny złościstego piasku, poruszając łopatą, jak szerokim i zwinnym językiem.

Ale w dole, skąd jeszcze wczoraj brano piasek — zostało mało co i Siemion ze stanowczością splunął.

— No — tu niewiele nakopiesz. Chyba tam popróbować? — spojrzał na niziutką grotę, podkopaną z jednej strony, opartą o nietrwałą ścianę, na której widać było czerwone i zielono-szare warstwy; i zdecydowawszy się — skierował się w tę stronę.

Psalmoszczyk spojrzał na grotę i pomyślał: »a przecie zawali się« — lecz nie powiedział.

Ale Siemion odczuł tę myśl w postaci niewyraźnej trwogi, podobnej do gwałtownych i lekkich nudności i zatrzymał się.

— Jak myślisz — nie zawali się? — spytał — obracając się.

— A ja skąd mogę wiedzieć? — odrzekł stróż.

Mrok owalnego otworu, który przypominał otwarte usta — miał w sobie coś zdradzieckiego, coś wyczekującego. Siemion zawahał się. Ale z góry, gdzie zwiślał nad dołem dębowy krzak i drzącymi, wyrzniętymi liśćmi wyraźnie zarysowywał się na niebieskim tle nieba — powiało podniecającym zapachem liści i kwiatów i chciało się zrobić coś śmiałego i wesołego. Pośliniwszy dłonie, Siemion

wziął łopate i zaledwie drugi raz uderzył nią — coś słabo zachrzęściło i cała ściana bezgłośnie spelzła na dół i przykryła go. I tylko dębowy krzak, co się zatrzymał na korzeniach — słabo poruszył liśćmi i zeszcła, krągła grudka piasku potoczyła się do samych nóg zbladłego stróża i zatrzymała się — taka prosta i niewinna.

Po dwóch godzinach odkopano Siemiona martwego. Szerokie otwarte usta z czystymi, równymi, jakby według nitki poderzniętymi zębami — były szczelnie zapchane złościstym piaskiem i po całej twarzy, w oczodołach, wśród białych rzęs, w płowych włosach i ognisto-rudej brodzie — wszędzie był złościsty, czerwony piasek. I tak samo skręcały się i tańczyły rude włoski i jak dzikie zęczenie się wyglądał ten niepojęcie wesoły, zuchwały taniec wokoło bladej, zmartwiałej twarzy.

Wraz z tłumem, który się zebrał, przybiegł syn zabitego Mosiagina — Sieńka. Nie wsadzono go na wóz i całą drogę biegł z tyłu, za jadącymi, tak, że słyhać było jego ciężki oddech; gdy odkopywano ojca — nieruchomie stał na boku, na kupie gliny i równie nieruchome były jego oczy, którymi wpił się w topniejącą górę piasku.

Nieboszczyka położono na wóz, na którym był złościsty piasek, nakopany przez niego, przykryli go rogożą (słomianką) i wolnym krokiem powieźli do wsi po leśnej drodze, najeżonej kamieniami: z tyłu — rozsypani — cicho szli chłopci, ginąc

między drzewami i koszule ich od słonecznych płam zapaliły się czerwonym ogniem. Kiedy mijano piętrowy dom Iwana Porfirjewicza, psalmszczyk zaproponował, aby nieboszczyka złożyć u niego:

— Jego parobek, on też musi go chować.

Ani w oknach, ani koło domu nie było nikogo i sklepik zamknięty był na wiszącą, żelazną kłódkę. Długo stukano do wysokiej bramy z dużemi, czarnemi czapkami — żelaznych gwoździ, potem dzwoniło w duży dzwonek i było słycać, jak dzwoneczkał ostro i głośno gdzieś za rogiem i psy ujadły na podwórzu, ale nikt się nie ukazywał. Wreszcie wyszła stara kucharka i powiedziała, że gospodarz każe wieźć Mosiagina do domu i dać na pogrzeb — nie wliczając tego do pensyi — dziesięć rubli. I podczas, gdy rozmawiała z tłumem, sam Iwan Porfirjewicz — zły i przestraszony — spoglądał z poza firanek na straszną rogożę i szeptem mówił do żony:

— Zapamiętaj moje słowa: jeśli pop nawet milion mi będzie dawać — ręki nie wyciągnę — niech lepiej ręka uschnie. Straszny to człowiek.

I nie wiedzieć skąd, czy z powodu zagadkowych słów starosty i z tego, że nie chciał przyjąć nieboszczyka, czy z innego jakiegoś nieznanego źródła — po wsi rozpełzły się szybko i wszędzie burzliwe i dziwne pogłoski. Mówiono o Siemionie, o jego niespodzianej, strasnej śmierci, a myślano

o popie, nie wiedząc, dlaczego o nim myślą i czego odeń oczekują.

Kiedy O. Bazyli szedł na »panichidę« — błady, obarczony jakąś niewyraźną zadumą, ale wesół i uśmiechający się, usuwano mu się szybko z drogi i długo nie odważano się stąpić na to miejsce, gdzie niewidomie plonęły ślady jego ciężkich, wielkich stóp. Przypomniano pożar i długo mówiono o tem; przypomniano popadę, która spłonęła i jej syna — tego idyotę bez nóg i pomiędzy prostymi i jasnymi ich wyrazami drgały ostre kolce strachu.

Jakaś baba rozplakała się z wielkiej i dziwnej żalości i poszła; pozostali długo spoglądali na jej drżące od płaczu plecy i w milczeniu, nie patrząc na siebie — rozeszli się. Dzieci, odczuwając niepokój dorosłych, zbierały się o zmierzchu na toku i na tylnych podwórkach i opowiadały straszne bajki o nieboszczykach, łuskając czarnemi, rozszerzonymi oczyma; i już oddawna zwoływał je do domu głos znany i przyjemny, chociaż gniewny, ale one nie mogły się zdecydować, aby wyciągnąć z pod siebie bosc nogi i pomknąć po przez straszącą, przezroczystą mgłę. I w ciągu tych dwóch dni, aż do pogrzebu — nieustannie chodziły oglądać nieboszczyka, siniejącego i puchnącego od upału.

I przez te dwie noce, aż do pogrzebu, męczącym żarem oddychała ziemia i bez rosy stały suche łąki, które zaczęły już usychać pod gorącymi

promieniami słońca. Niebo było czyste, ale ciemne i rzadkie gwiazdy świeciły mętnie; a ponad wszystkim panował niemilkący, suchy trzask polnych koników. Kiedy po pierwszej wieczornej panichidzie O. Bazyli wyszedł z chaty — było już ciemno i nie było światła na uspięnej ulicy. Zmęczony parnotą powietrza — pop zdjął czarny, o szerokich rondach kapelusz i cicho szedł, stając bezgłośnie, jak po miękkim i puszystym dywanie. I z jakąś wzmagającą się trwogą, która go nie opuszczała — tak jak i wszystkich — bardziej domyślił się, niż usłyszał — że z tyłu, o kilka kroków za nim — ktoś idzie. Obejrzał się — ktoś ciemny i wysoki szedł z tyłu, widocznie przystosowując swe kroki do powolnego chodu popa. Pop zatrzymał się — ten z tyłu — nie domyślając się tego — zrobił jeszcze kilka kroków i również zatrzymał się, szybko się cofając w tył.

— Kto to? — spytał O. Bazyli.

Człowiek milczał. Potem gwałtownie zawrócił i szybko, nie zwalniając kroku — poszedł z powrotem i za chwilę mrok nocny pochłonął go bez śladu.

Następnej nocy powtórzyło się to samo. Wysoki i ciemny człowiek szedł za popem, aż do jego furtki i dlaczegoś popowi wydało się — z chodu i rozrośniętej postaci — że to Iwan Porfirjewicz — starosta.

— Iwan Porfirjewicz — czy to wy? — zawołał.

Ale człowiek nie odezwał się i cofnął się. A gdy O. Bazyli rozbierał się już do snu — ktoś cicho zapukał do okna; pop wyszedł, ale koło domu nie było żywego ducha.

»Czego on się włóczy, jak zły duch« — z niezadowolaniem pomyślał O. Bazyli, klękając do długiej modlitwy.

I wśród tej modlitwy zapomniał i o staroście i o nocy, która trwożnie zwiisała nad ziemią i o samym sobie — modlił się za umarłego, za jego żonę i dzieci — błagał o zesłanie dla ziemi i ludzi wielkiego zmiłowania Boskiego. I w słonecznych otchłaniach bez dna — zarysowywał się nowy świat, który już nie był ziemią.

A gdy modlił się, idyota spelzł z łóżka i sunął się, z wysiłkiem poruszając budzącymi się do życia, ale jeszcze słabymi nogami. Pełzać zaczął na początku wiosny i nieraz, powracając do domu, zastawał go pop przy progu, gdzie siedział nieruchomie — jak pies — przy zamkniętych drzwiach. Teraz kierował się ku otwartemu oknu i posuwał się wolno, z wysiłkiem, w skupieniu kołysząc głową. Przypelzł, zarzucił na okno silne, zwinne ręce i uniósłszy się na nich — posępnie i pożądliwie wpatrywał się w ciemną noc. I czemuś się przysłuchiwał.

Mosiagina chowano w poniedziałek, w dzień Św. Ducha, i dzień ten rozpoczął się dziwnie złowrogo, jak gdyby niepokojowi ludzi — odpowiadał ciężki, niepojęty niepokój natury. Od rana było strasznie parno i tak upalno, że trawa prawie w oczach zwijała się i więdła, jak od silnego ognia. I ciemne, ciężkie niebo nisko i groźnie zwisało nad ziemią i zdawało się, że zmacony błękit przetykany jest cienkimi, krwisto-czerwonemi żyłkami; i takie było to niebo czerwone-sinawe, dzwoniące z metalowymi błyskami i zmianami.

Ogromne słońce płonęło żarem i tak dziwne było, że świeci jasno, a nigdzie nie widać wyraźnych, spokojnych cieni słonecznego dnia: jak gdyby pomiędzy ziemią i słońcem wisiała jakaś niewidzialna i nieprzenikniona płachta, w której ginęły promienie słońca.

I wokół była niema i ciężka cisza; jak gdyby jakiś olbrzym zadumał się głęboko, spuścił oczy i zamilkł. Ścięte aż do korzenia młode brzoźki ze zwiedłymi liśćmi szarymi rzędami ciągnęły się przez wieś; smutek i niepojęta trwoga była w tym pochodzie bezcelowym młodziutkich, szarych drzewek, które w milczeniu konały z pragnienia i upału, brzożek, co nie rzucały jeszcze cienia i stały — jak widma. Złocisty piasek, którym posypane były ścieżki dawno już się zmienił w żółty kurz i dziwiły się oczy, patrząc na łupiny ziarenek słoneczników, pozostałych po wczorajszym święcie: łupiny

te mówiły o czemś spokojnem, prostem i wesołem, gdy tymczasem w zeszywniałej naturze wszystko było takie surowe, takie bolesne, takie zadumane i groźne.

Kiedy O. Bazyli ubrał się w ornat, do ołtarza przystąpił Iwan Porfirjewicz. Po przez pot i czerwone plamy, któremi z powodu upału okryta była jego twarz — trwożnie przeglądała szara bladeść — koloru ziemi; oczy były zapuchnięte i płonęły febrycznym ogniem; naprędce, przyczesane, zlepione kwasem włosy miejscami wyschły i sterczały zwichrzonymi kosmykami, jak gdyby człowiek ten nie spał już kilka nocy, dręczony nieludzkim lękiem. Był jakiś zmieszany i niespokojny; zapomniał delikatności w obejściu się z ludźmi, nie zbliżył do popa po błogosławieństwo i nawet nie przywitał się.

— Co się z wami dzieje — Iwan Porfirjewicz. — Niezdrowicie? — ze współczuciem zapytał O. Bazyli, wyciągając włosy z popod ciasnego kołnierza ornatu; — skupiony był i blade, pomimo upału.

— Starosta spróbował się uśmiechnąć: — Tak sobie. Właściwie nie ważnego. Chciałem pomówić z wami — ojcze.

— To wy wczoraj?...

— Ja. I przedwczoraj — też ja. Proszę przebaczyć. Ja bez żadnego zamiaru...

Odetchnął ciężko i znów zapominając delika-

tności w obejściu się, otwarcie ulegając przerażeniu — głośno powiedział:

— Boję się. Od urodzenia niczego się nie bałem. A teraz się boję. Boję się.

— Czegóż się boicie? — ze zdumieniem zapytał pop.

Iwan Porfirjewicz zajrzał po przez ramię popa, jak gdyby się tam kto ukrywał i milcząco i straszny — westchnął:

— Śmierci.

W milczeniu patrzyli na siebie.

— Śmierci. Przyszła już do mnie na podwórze. Wściekła, bez upamiętania, wszystkich pozabiera. Wszystkich! Przepraszam — u mnie bez przyczyny — nawet kura nie śmie zdechnąć: gdy ją rozkażę zarznąć do kapuśniaku — wtedy skona. A cóż to takiego? Czy tak może być? Przepraszam. A ja odrazu nie domyśliłem się. Proszę przebaczyć.

— Ty mówisz o Siemionie?

— A o kim-że mam mówić? O Sidorze i Jewseignieju? Ot — co ci mówię — zuchwale zaczął mówić starosta, szalejąc ze strachu i złości — ty porzuć to. Tu niema durni. Uchodź — pókiś zdrów i cały. Uchodź! — Energicznie kiwnął głową w kierunku drzwi i dodał: — Prędko!

— Co tobie, czyś oszalał?

— To jeszcze niewiadomo, kto oszalał, ty czy ja. Poco ty co rano urządzasz niewiadomo co?

»Modłę się, modłę się« — przedrzeźniał popa. Tak się nie modlą. Ty czekaj, cierp — a nie »ja modłę się«. Poganiec jesteś, samowolny, wszystko chcesz robić po swojemu. A ot i masz: gdzie Siemion? Mów — gdzie Siemion? Czemuś zagubił chłopa? Gdzie Siemion, mów?!

Zuchwale rzucił się do popa i usłyszał krótki i surowy rozkaz:

— Idź precz od ołtarza — bezbożny!

Pasowy z gniewu — Iwan Porfirjewicz — z góry spojrzął na popa — i zastygł z otwartymi ustami. Patrzyły na niego — głębokie bez dna oczy, czarne i straszne, jak woda w bagnisku i czyjeś potężne życie drgało w tych oczach i czyjaś potężna wola — jak zaostrowany miecz — wyglądała stamtąd. Były tylko oczy. Ani twarzy, ani ciała — nie widział Iwan Porfirjewicz. Tylko oczy, ogromne, jak ściana, jak ołtarz, ziejące, tajemnicze, rozkazujące patrzyły na niego — i jakby oparzony — opędał się ręką, poczem wyszedł, zawadziwszy o drzwi tłustym ramieniem. W zmartwiałe jego plecy — po przez murowaną ścianę wciąż jeszcze wpijały się czarne i straszne oczy.

tów ołowianego milczenia. Wszystkie wysokie, łukiem zakończone okna — były otwarte — dla dopływu powietrza — i przez nie zaglądało miedziano-czerwone groźne niebo: zdawało się, że się wpatruje w okna, rzucając na wszystko metalowe, suche błyski.

I w tem rozszanem, ciężkiem, ale jasnym świetle — pożłota obrazów błyszcząca mętnie i blade, drażniąc oczy chaosem i niewyraźnemi twarzami. Za jednym oknem nieruchomie i sucho zielenił się młody klon i wiele oczu nieustannie patrzyło na jego szerokie, zlekka obwisłe liście: wydawało się, że to są przyjaciele, starzy, spokojni przyjaciele — pośród tego milczenia, pośród tej hamowanej burzy uczuć, wśród tych żółtych drażniących twarzy świętych.

I ponad wszystkimi zwykłymi, spokojnymi zapachami cerkwi, ponad aromatem kadzidła i wosku — panował określony, ohydny i straszny smród psującego się ciała. Trup rozkładał się szybko i przykro i straszno się było zbliżyć do czarnego grobu, który zawierał tę rozkładającą się masę gnijącego i śmierdzącego ciała. Nawet zbliżyć się — gdy tam nieruchomo, jak sama trumna — stało czworo ludzi: wdowa po nieboszczyku i troje dzieci. Być może, że czuli smród, ale nie chcieli wierzyć; być może, że nie czuli i myśleli i wierzyli, że chowają żywego — tak myślą wszyscy ludzie, gdy jednego z pośród nich, takiego blizkiego,

XII.

Do cerkwi wchodzono w milczeniu, ostrożnie stąpając i stawano gdzieś — nie na zwykłych miejscach, nie tam, gdzie się chciało i przywykło już stawać; jak gdyby niedobrze i niestosownie było w ten przykry, trwożny dzień zwracać uwagę na jakieś przyzwyczajenia, troszczyć się o jakieś wygody. Stawano i długo nikt nie ośmielał się odwrócić głowy, żeby się obejrzeć poza siebie. Już — z powodu ciasnoty — trudno było oddychać, a tymczasem z tyłu wciąż naciskały coraz nowe, milczące rzędy; i wszyscy milczeli i wszyscy ponuro i trwożnie czekali i nawet takie zbliżenie — nie wpływało na uspokojenie: łokieć ocierał się o łokieć, a zdawało się, że człowiek stoi sam w bezbrzeżnej pustce. Zwabieni dziwnymi pogłoskami zjechali się ludzie z dalekich wsi, z obcych parafij; ci byli śmielsi i rozmawiali głośno, wkrótce jednak umilkli i oni, gniewni i zdziwieni, ale równie niezgodni, jak wszyscy, rozerwać niewidzialnych pę-

takiego rodzonego, z którym niemożliwa jest rozłąka — zabiera niespodziana, gwałtowna śmierć. Ale oni milczeli i wszystko milczało; i miedziano-czerwone, groźne niebo wpatrywało się w okna ponad głowami tłumu i oświetlało suche, dziwne twarze świętych.

Gdy się rozpoczęła msza, uroczyście i prosto, jak zwykle, i gdy tłusty i dobroduszny dyak zaczął machać kadzielnicą — wszyscy odetchnęli jakoś swobodniej i zrobiło się weselej i lżej. Ktoś zaszeptał; ktoś pewnie i ciężko przestąpił z nogi na nogę — zdrewniałymi nogami; niektórzy, co stali bliżej drzwi — wyszli przed cerkiew, aby wypocząć i wypalić papierosa. Ale paląc i spokojnie rozmawiając o zasiewach, o grożącej posusze, o pieniądzech — czegoś raptownie milkli, przerażali się, że w czasie ich nieobecności w cerkwi stanie się coś ważnego i nieoczekiwanego, porzucali niedopalone papierosy i pchali się do cerkwi, ramionami jak klinami rozsuwając tłum. I zatrzymywali się: uroczyście i prosto odbywała się msza, stary dyak spokojnie chrząkał i kaszlał, zanim się zabrał do czytania, odszukiwał w tłumie rozmawiających i groził im krótkim i tłustym palcem. Ci, co wyszli z cerkwi przed końcem mszy, zauważyli, że nad lasem, od strony słońca, podnosiła się sinawa chmura, koloru dymu, słabo ciemniejac pod promieniami słońca — i ludzie żegnali się radośnie. Był wśród nich i Iwan Porfirjewicz, blady

i jakby chory; on również przeżegnał się, ujrzawszy chmurę i natychmiast ponuro spuścił oczy w dół.

W czasie krótkiej przerwy pomiędzy mszą i egzekwiami, kiedy O. Bazyli przebrał się w czarny, aksamitny ornat, dyak, cmokając wargami — powiedział:

— Ech! Przydałby się lód, bo strasznie śmierdzi. Ale skąd wziąć — tego lodu? Mojem zdaniem — w takich razach warto mieć przy cerkwi jakiś zapas — proszę powiedzieć staroście.

— Śmierdzi? — głucho zapytał pop, nie odwracając się.

— A wy — ojczy — nie czujecie? No — i nos! A ja po prostu omdleвам od tego smrodu. Teraz, w czasie lata tego smrodu i przez tydzień nie będzie się można pozbyć. Proszę tylko powąchać — nawet broda śmierdzi. Jak Bóg miły.

Przytknął do nosa koniuszek swej siwej brody, powąchał i z niezadowolaniem zakończył:

— Jacy to ludzie — naprawdę!

Rozpoczęły się egzekwie.

I znów ołowiane milczenie przygniotło tłum i przykuło każdego do miejsca, oddzielając od ludzi i oddając na pastwę męczącego oczekiwania. Stary psalomszczyk czytał. On widział śmierć tego, który teraz był postrachem wszystkich ze swej czarnej trumny; pamiętał wyraźnie i niewinną grudkę zeszcłej ziemi i dębowy krzak, co poruszył

swe wyrżnięte liście — i stare, znane, zmartwiałe wyrazy ożywały w jego szepleniących ustach, uderzały boleśnie i trafnie.

I o popie myślał z trwogą i smutkiem — bowiem w te godziny przerażeń, które miały przyjść, on jeden z pośród ludzi obecnych kochał O. Bazylego wstydliwą i czułą miłością i on jeden blizki był jego wielkiej i burzliwej duszy.

»Zaiste wszystko jest marnością, życie zaś — snem i cieniem, bowiem napróżno błąka się wszelki zrodzony na ziemi, jak mówi Pismo Św.: gdy spokój zdobędziemy, będziemy w grobie i będą złączeni królowie i nędzarze. I daj wieczne odpoczywanie — Chryste Panie słuźde Twemu, który przed Tobą stanął...«

W cerkwi ściemniało się i zapanował bury, sinawy, niespokojny zmrok ściemniającego się dnia i wszyscy odczuli ten mrok, ale długo nie spostrzegli go jeszcze oczyma. I tylko ci, którzy nieustannie patrzyli na przyjacielskie liście klonu — ujrżeli, że z poza tych liści wypełza chmura ciemna, szara, postrzępiona — spojrziała na cerkiew martwemi oczyma i popęzła wyżej, do krzyża.

...Gdzie są namiętności ziemskie, gdzie marzenia o doczesności, gdzie złoto i srebro i niewolników mnogość i pusta sława... — wszystko marność, wszystko proch, wszystko cień...

Drżały gorzkie słowa w drżących ustach starca. Teraz już wszyscy spostrzegli wzrastający mrok

i zwrócili się ku oknom. Poza klonem niebo było czarne i szerokie liście nie miały już zielonej barwy: stały się blade i nie miały już w sobie nic kojącego, nie przyjacielskiego dla przerażonych, skamieniałych ludzi.

Ludzie spoglądali na siebie, szukając ukojenia i wszystkie twarze były popielato-szare, wszystkie twarze były blade i obce. I zdawało się, że całą ciemność, co milczącym i szerokim potokiem wlewała się przez okna — wchłonęła w siebie czarna trumna i czarny pop: tak czarna była ta niema trumna, tak czarny był ten wysoki, zimny i surowy człowiek. Poruszał się spokojnie i pewnie i zdawało się, że czarna odzież jego jest światłem śród ściemniałej pozłoty, popielato-szarych twarzy i wysokich okien, ziejących mrokiem. Ale chwilami opanowywało go niezrozumiałe wahanie się i niezdecydowanie: zwalniał kroku i wyciągnawszy szyję ze zdumieniem spoglądał na tłum, jak gdyby czemś nieoczekiwanem był dlań ten oniemiały tłum w cerkwi, gdzie przyzwyczaił się modlić tylko sam jeden; potem zapominał o tłumie, zapominał, że odprowadzał mszę i zamyślony zbliżał się do ołtarza. Wszystko jak gdyby podwajało się w nim; jak gdyby czekał jakiego słowa, rozkazu, czy potężnego, rozstrzygającego uczucia — a ono nie przychodziło.

...Płacę i od łkań się zanoszę, gdy myślę o śmierci i widzę w trumnę złożoną — piękność

naszą — na obraz Boski stworzoną — zohydzoną, zniesławioną, bezkształtną. O cudzie! Jakie tajemnicze zjawiska stają się we mnie. Jak poddałiśmy się śmierci i podlegliśmy rozkładowi? Zaprawdę Boskiem przykazaniem...

Pośród zgęszczonego mroku świece paliły się jasno, jak o zmierzchu i rzuciły na twarze czerwone błyski i wielu spostrzegło szybkie i niezwykle przejście dnia w noc — gdy było dopiero południe.

I O. Bazyli odczuł tę ciemność, ale nie zrozumiał, dlaczego jest tak ciemno: jemu się zdawało, że to wczesny ranek zimowy, gdy on sam na sam pozostawał z Bogiem i wielkie potężne uczucie przyprawiało mu skrzydła i jak ptak, jak strzała — nie zbaczając z drogi — leciał do celu. I zadrżał, nie widząc — jak ślepy, ale przeczuwając. Tysiące porwanych, zczepionych myśli, tysiące niewyraźnych uczuć — zwolniły swój wściekły pęd; zwolniły — stanęły — zamarły — przez jedno мгновение — straszna pustka, błyskawiczny upadek — śmierć — i w piersiach zakołysało się coś wielkiego, niespodzianie radosnego, niespodzianie pięknego.

Jeszcze poważne i surowe były pierwsze uderzenia serca, które za chwilę bić przestało — a on już wiedział.

To ono! Ono, potężne, rozstrzygające wszystko — uczucie, panujące nad życiem i śmiercią, uczucie —

co rozkazuje góróm: zejście z miejsca! — i schodzą stare, gniewne góry. Radość! Radość!

Patrzy na trumnę, na cerkiew, na ludzi i rozumie, rozumie wszystko tem cudnem jasnowidzeniem aż w samą głąb rzeczy, jakie się miewa tylko we śnie i które znika bez śladu wraz z pierwszymi promieniami słońca. Więc oto jest! Oto wielkie rozwiązanie zagadki! O! radość! radość! radość!

Śmieje się głośno, schrypniętym głosem — widzi przerażoną twarz dyaka, który ostrzegając go — wznosił palec, widzi skurczone plecy ludzi, którzy usłyszeli jego śmiech i pośpiesznie przeciskają się po przez tłum — jak robactwo — i pop zaciska wargi, jak uczeń, który zawinił.

— Nie będę już — szepce do dyaka i obłądny zachwyty tryska jak ogień z całej jego twarzy. I płacze, zakrywając twarz rękoma.

— Kropel! Kropel jakichkolwiek — O. Bazyli — szepce mu na ucho przestraszony dyak — i z rozpaczą woła: — Ach — mój Boże — toż nie w porę! Proszę posłuchać, O. Bazyli?...

Pop zlekka odejmuje od twarzy złożone ręce i zukosa, zasłaniając się rękoma — spogląda na dyaka — dyak wzdryga się, na palcach, dużymi krokami odchodzi na bok, brzuchem wchodzi na barierę i omackiem znalazłszy drzwi — wychodzi.

...Przyjdźcie — o bracia — oddać ostatni pocałunek umarłemu, wielbiąc Boga, albowiem umarli

wyrzekł się swego jestestwa i do grobu dąży, bez troski o marność i cielesne żądze. Gdzie są krewni i przyjaciele? Rozstajemy się... Jaka rozłąka — o bracia — jaki płacz, jakie łkania o tej godzinie. Przyjdźcie pocałować tego, który z wami był od dzieciństwa, albowiem grobowi go się oddaje, kamieniem przykrywa, we mroki się przenosi, grzebie z umarłymi i rozłącza się teraz ze wszystkimi krewnymi i przyjaciółmi...

Tłum porusza się. Niektórzy pokryjomu wychodzą, nie zamieniając słowa z pozostałymi i w ściemniałej cerkwi robi się więcej miejsca. Tylko przy czarnej trumnie bezgłośnie popychają się ludzie, żegnają się, pochylają się nad czemś straszmem, obmierzłem i z męczeńskim wyrazem w twarzy — odchodzą na bok.

Z nieboszczykiem żegna się żona. Wierzy już, że jest martwy i odór czuje — ale zamknięte są dla łez jej oczy i niema głosu w jej krtani. I dzieci patrzą na nią — cztery pary milczących oczu.

I wtedy spostrzeżono, że dyak, zmieszany jakiś — przepycha się przez tłum, a O. Bazyli stoi na ambonie i patrzy. Temu, kto go widział w tej chwili, na zawsze pozostał w pamięci jego niezwykły wygląd. Z taką siłą trzymał się rękoma baryery, że końce jego palców — zbielały, jak u umarłego; wyciągnąwszy szyję, przegiąwszy się całym ciałem przez baryerę — jednym wielkim spojrzaniem wpił się w to miejsce, gdzie stała

wdowa i dzieci. I dziwnie: zdawało się, że upaja się jej bezbrzeżną męką — tak wesołe, tak tryumfujące — tak zuchwale-radosne było jego błyskawiczne spojrzanie.

...Jaka rozłąka — o bracia — jaki płacz, jakie łkanie — w tej oto godzinie; przyjdźcie, aby dać pocałunek temu, który od małości był z nami, bo wiem oddaje się go grobowi, kamień go przykryje i ciemności pochłona, pogrzebiony będzie z umarłymi i rozłączy się ze wszystkimi krewnymi i przyjaciółmi swymi...

— Zamilknij... człowieku obłąkany! — rozległ się z ambony straszny głos. — Czyliż nie widzisz, że tu niema umarłych!

I stało się to obłądne i wielkie, czego z takim przerażeniem, tak zagadkowo czekali wszyscy.

O. Bazyli odrzucił drzwiczki, które zadzwieczyły — i po przez tłum, przerysując pstrokacizną ich ubiorów swoją czarną uroczystą odzieżą — skierował się ku czarnej, w milczeniu oczekującej trumnie.

Zatrzymał się, rozkazująco wznosił prawą rękę i z pośpiechem przemówił do rozkładającego się trupa:

— Do ciebie mówię — wstań!

I powstało zamieszanie i szmer, i łkania i okrzyki śmiertelnego lęku. W panicznym strachu ludzie rzucali się do drzwi i robili wrażenie stada: czepiali się jeden drugiego, grozili sobie wyszcze-

rzonymi zębami, dusili się i ryczeli. I wylewali się z drzwi tak powolnie, jak woda z przewróconej butelki. Pozostali tylko — psalomszczyk, który upuścił książkę, wdowa z dziećmi i Iwan Porfirjewicz. Ten ostatni przez chwilę spoglądał na popa, zerwał się z miejsca, wcisnął się między ostatnie rzędy tłumu, wybuchając okrzykami przerażenia i gniewu.

Z jasnym i przebaczącym uśmiechem współczucia dla ich niewiary i strachu, sam tryskający potęgą bezgranicznej wiary, O. Bazyl zawałał po raz wtóry, z uroczystą i królewską prostotą:

— Do ciebie mówię — wstań!

Ale umarły leżał nieruchomie i obojętnie ukrywały wieczną tajemnicę jego zamknięte usta. I była cisza. Żadnego dźwięku w opustoszałej cerkwi. Ale oto dźwięcznie uderzają o kamienie szybkie, przestraszone kroki: to wychodzi wdowa i jej dzieci. Za nimi pędem biegnie stary psalomszczyk, na chwilę odwraca się koło drzwi, uderza w dłoń — i znów cisza.

»Tak będzie lepiej: przykro mu — takiemu, jak jest teraz — wstawać przy żonie i dzieciach« — szybko, błyskawicznie myśli O. Bazyl i mówi po raz trzeci i ostatni cicho i surowo:

— Siemionie! Do ciebie mówię — wstań!

Powoli opuszcza rękę i czeka. Za oknem rozlega się chrzęst piasku i szmer ten wydaje się tak blizki, jak gdyby z trumny. Czeka. Kroki rozległy

się bliżej, minęły okno i znikły. I znów cisza i długie męczące westchnienie. Kto westchnął?

Pochyla się nad trumną, w opuchniętej, okropnej twarzy szuka jakiegoś drgnienia życia; rozkazuje oczom: »otwórzcie się« — pochyla się niżej, niżej chwyta rękoma za ostre brzegi trumny, dotyka prawie zsiniałych jego ust i ogrzewa je oddechem życia, a poruszony trup odpowiada mu smrodliwym, zimnym, okrutnym oddechem śmierci.

W milczeniu cofa się i przez jedno mgnienie widzi i pojmuję wszystko. Czuje smród trupa, rozumie, że ludzie rozbiegli się ze strachu i w cerkwi pozostał on tylko sam i nieboszczyk; widzi, że za oknami ciemno, ale nie domyśla się dlaczego i odwraca się. Szybko przemyka wspomnienie czegoś bardzo dawnego, jakiegoś śmiechu wiosennego, który przedzwięczał kiedyś — dawno i umilkł. Przypomina się mu zamieć. Dzwony i zamieć. I nieruchoma maska idyoty.

Ich dwoje, ich dwoje, ich dwoje...

I znów znika wszystko. Zagasłe oczy rozpalają się zimnym, skaczącym ogniem, żyłaste ciało napętnia się poczuciem siły i żelaznej mocy. I ukrywając oczy pod kamienną arką brwi — mówi spokojnie, spokojnie — cicho, cicho — jak gdyby obawiając się zbudzić kogoś ze snu?

— Czy ty mnie chcesz oszukać?

I milczy, spuściwszy oczy, jak gdyby czekał na odpowiedź. I znów mówi cicho, cicho z tym zło-

wrogim wyrazem, jaki ma burza, gdy czuje, że zapanowała już nad całą naturą, a jednak zwleka i po królewsku, delikatnie kołysze w powietrzu puszek:

— Więc pocóż wierzyłem?

— Więc pociś mi dał umiłowanie ludzi i litość nad nimi — żeby naigrawać się ze mnie?

— Więc pociś przez całe życie trzymał mię w niewoli, w okuciu, w pętach? Ani jednej myśli swobodnej! Ani jednego uczucia! Ani jednego westchnienia! Zawsze żyć tylko Tobą, wszystko — dla Ciebie. Ty tylko jeden! No — więc ukaż się — czekam.

I z hardą pokorą czekał odpowiedzi — sam jeden wobec czarnej okrutnej, tryumfującej trumny, sam jeden wobec groźnego oblicza nieogarnionej majestatycznej ciszy. Sam jeden. Nieruchomymi ostrzami wpijają się we mgłę płomyki świec — i gdzieś daleko, oddalając się nuci zawieja: ich dwoje — ich dwoje... Cisza.

— Nie chcesz? — zapytuje wciąż jeszcze równie cicho i pokornie — i potem raptownie zaczyna krzyżeć wściekłym głosem, z wytrzeszczonymi oczyma, z tą straszną otwartością wyrazu, jaka właściwa jest obłąkanym i głęboko śpiącym. Krzyczy, zagłuszając tym krzykiem groźną ciszę i ostatnie przerażenie konającej duszy ludzkiej.

— Tyś powinien! Wróc mu życie! Zabierz innym, a jemu wróć! Proszę!

Zwraca się do ciała — w milczeniu rozkładającego się i rozkazuje z gniewem i pogardą:

— Ty! Proś Go! proś!

I krzyczy świętokradzko, obłudnie.

— On nie potrzebuje raję. Tu są jego dzieci. One wołać będą: ojczę! I on powie: Zdejm z głowy mej wieniec niebieski, tam bowiem — srom i błoto okrywają głowy mych dzieci. On powie! On powie!

Z wściekłością potrząsa czarną, ciężką trumną i krzyczy:

— Przemów ty, przeklęte mięso!

Spogląda ze zdumieniem, ostro i w niemem przerażeniu cofa się w tył, wyciągając przed siebie, jakby dla obrony stężale ręce. W trumnie niema Siemiona. W trumnie niema trupa. Tam leży idyota.

Schwyciwszy drapieżnymi palcami za brzegi trumny, unosząc zlekka potworną głowę — zukosa spogląda na popa zmrużonemi oczyma — i wokoło wywinętych nozdrzy, wokoło wielkich, zamkniętych ust — przewija się milczący, zaledwie rozdający się uśmiech. Milczy i patrzy i zwolna wysuwa się z trumny — niewypowiedzianie straszny w niepojętem złaniu się wiecznego życia i wiecznej śmierci.

— Wróc się — krzyczy O. Bazyli i głowa jego staje się olbrzymia od włosów, które mu się podnoszą. — Wróc się!

I znów — nieruchomy trup. I znów idyota.

I tak trwa potworna zabawa: obłędnie dwoi się gnijąca masa i zieje strach wokoło.

W dzikim gniewie pop chrypi:

— Nastraszyć mię! Więc oto masz...

Ale słów jego nie słyhać. Gwałtownie zapalając się oślepiającym światłem do samych uszu rozdiera się nieruchoma maska i śmiech podobny do grzmotu napęlnia całą cichą cerkiew. Śmiech ten rozbrzmiewa, przegryza murowane sklepienia, miota kamienie i strasznym hukiem otula samotnego człowieka.

O. Bazylki otwiera oślepione oczy, podnosi głowę do góry i widzi: wszystko spada. Powoli i ciężko pochylają się i zbliżają ściany, spelzają sklepienia, bez szmeru rozpada się wysoka kopuła, chwieje się i zgina podłoga — cały świat wstrząsa się w swych podstawach i rozpada się.

I wtedy — z dzikim rykiem biegnie ku drzwiom. Ale nie może znaleźć — i miota się i uderza się o ściany, o ostre kamienne rogi i — płacze. Drzwi gwałtownie otwierają się, pop pada na podłogę, radośnie zrywa się i czyjeś drżące, czepiające się ręce obejmują go i trzymają. On wyrывa się i krzyczy, uwolniwszy ręce — z żelazną siłą bije po głowie psałomszczyka, który usiłuje go zatrzymać i odrzucając nogą jego ciało — wyskakuje na zewnątrz.

Niebo jest całe w ogniu. Dziko miotają się skłębione, porwane chmury i całą swą olbrzymią

masą spadają na przerażoną ziemię. Świat pęka w podstawach. I stamtąd, z tego ognistego, skłębionego chaosu — niesie się ogromny, do grzmotu podobny śmiech i trzask i okrzyki dzikiego wesela. Na zachodzie jaśnieje jeszcze niebieski pasek, pop biegnie w tę stronę, tracąc oddech. Nogi mu się płaczą w długiej sutannie, pada, miota się po ziemi, pokrwawiony, straszny i znów biegnie. Ulica bezludna — jak w nocy — ani koło domów, ani w oknach niema żadnego człowieka, żadnego żywego stworzenia: ani zwierzęcia, ani ptaka.

— Wszyscy pomarli! — błyska mu ostatnia myśl.

Wybiega poza wieś, na szeroką ubitą drogę. Nad głową jego czarna skłębiona chmura wyrzuca z siebie trzy długie odpryski — niby trzy drapieźnie zgięte pazury; z tyłu grzmi coś głucho i groźnie — świat pęka w podstawach. Daleko — przed nim — na wozie powracają ze wsi Znamieskiej chłop i dwie baby. Widzą biegnącego szybko, czarnego człowieka, na sekundę zatrzymują się — ale poznawszy popa — okładają konia i puszczają się w galop. Wóz na wybojach podskakuje, dwoma kołami unosi się w powietrze, ale trzy milczące, zgięte postacie, przejęte strachem, rozpaczliwie okładają konie i pędzą — i pędzą...

O. Bazyli upadł o trzy wiorsty za wsią, wśród szerokiej ubitej drogi. Upadł kościstą twarzą w przydrożny, szary kurz, zmielony kołami, zdeptany nogami ludzi i zwierząt. I z pozycyi, w jakiej spoczywało ciało, można się było domyślić, jak błyskawicznie musiał biedz: blade, martwe ręce wyciągnięte były naprzód, noga podwinęła się pod ciało, druga w starym, schodzonym bucie z przebitą podeszwą, długa, prosta, żyłasta — odrzucona w tył — wyprostowana w natężeniu — jak gdyby i umarły nawet — biegł wciąż jeszcze.



~~64408~~
63739